ROK XV 9 KWIETNIA 1939 NR 14—15

ECHA LEŚNE

Tygodnik ilustrowany



Dudziarz Wł. Skoczylas

ECHA LEŚNE

ORGAN ZWIĄZKU LEŚNIKÓW R.P., RODZINY LEŚNIKA i PRZYSPOSOBIENIA WOJSKOWEGO LEŚNIKÓW

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA (22), UL. WAWELSKA 52/54. TELEFON 7-11-78.

TREŚĆ NUMERU

DZWONY WE MGLE

Cóż mamy sobie powiedzieć w dni świąteczne, w dni namysłu i pogwarki rodzinnej? Nie będzie nam teraz do śmiechu ani do wesela, bo wszyscy czekamy na jakieś przesilenie, zbliżające się wielkimi krokami ku narodom i państwom Europy. Zbliża się ono i ku nam, ku Rzeczypospolitej Polskiej. A my, wolni obywatele Rzplitej nadstawiamy ucha i radzibyśmy wiedzieć, skąd się skrada niebezpieczeństwo ku naszym granicom, radzibyśmy wiedzieć, kiedy nadejdzie godzina próby?

Nie spotka nas nieprzygotowanych ani strwożonych. Wręcz przeciwnie. Polska jest państwem zwartym, przysposobionym do wojny i do pokoju, nie zachwieje ścianami naszego domostwa ni wiatr porywisty, ni burza, choćby ogniem dział ziejących. Napracowaliśmy się nad umocnieniem naszego państwa, wiemy też dzisiaj, że wytrzyma wszelką próbę, że gdyby ktoś próbował wstrząsnąć ścianami Rzplitej, okrwawi sobie jeno dłonie i będzie musiał odejść, nic nie wskórawszy.

Jeśli wypada nam to w obecnej przełomowej chwili powiedzieć, to tylko dla ścisłego rachunku. Nie potrzebujemy bowiem żadnej zachęty ani przechwałki. Nasza armia po mobilizacji składać się będzie z 3 milionów ludzi, zbrojnych w tysiące dział ciężkich i polowych, dziesiątki tysięcy karabinów maszynowych, tysiące wielkich i małych czołgów, a nad nią lecieć będzie trzy tysiące samolotów. Wszystko zaś czego do ubrania i uzbrojenia tej armii potrzeba, możemy sprawić, odnowić, naprawić i zremontować w naszych własnych fabrykach, których najznaczniejsza część umieszczona jest w głębi kraju daleko od granicy i często niedosięgalna dla jakiegokolwiek natarcia.

Jakaż istnieje w Europie siła, któraby mogła co najmniej taką samą ilość wojska, uzbrojenia, materiału wojennego rzucić na nas, nie ogałacając gdzieindziej swoich granic, nie naruszając obrony innych punktów w swoim własnym kraju? Takiej siły w Europie nie ma. Wojna z Polską oznaczałaby wojnę ogólnoeuropejską, w której siły byłyby co najmniej po obu stronach wyrównane, a więc od męstwa żołnierza, wytrwałości i patriotyzmu całego społeczeństwa zależałby bezpośrednio wynik wojny. Wiemy chyba, że wówczas nie potrzebowalibyśmy się niczego lękać. Polacy daliby z siebie wszystko, by szale wojny przeważyć na swoją korzyść.

Społeczeństwo polskie złożyło zresztą teraz dowody, że rozumie powagę sytuacji, że kieruje się wyłącznie nakazami patriotyzmu i narodowej ofiarności. Społeczeństwo polskie w ostatnich tygodniach z całym spokojem a bezwzględnym rozmachem i odwagą stanęło na wezwanie swych kierowników. Z nowej pożyczki lotniczej powstanie nowe wielkie lotnictwo polskie, które skutecznie będzie czuwać nad szlakami komunikacyjnymi Polski i w razie potrzeby osłoni nasze miasta i nasze drogi.

Lecz co nam grozi? Właśnie powaga sytuacji polega na tem, że nie możemy ustalić rozmiarów niebezpieczeństwa ani kierunku, skąd ewentualnie przyjść może. Widzimy tylko, że w naszych oczach Rzesza Niemiecka zaanektowała Czechy, mimo, że niedawno jeszcze skłonna była gwarantować granice Czech, widzimy, że Litwa zmuszona została do odstąpienia Kłajpedy i że w różnych punktach Europy pojawiają się podejrzane ogniki, z których lada chwila może powstać bardzo niebezpieczny ogólny pożar. Widzimy to, że nie mrużymy oczu, lecz patrzymy prosto w twarz temu niebezpieczeństwu. Gdyby chciano nas zaatakować tak, jak zaatakowano inne kraje, będziemy się bronić i to siłą orężną, przy pomocy wszystkich środków, którymi dysponuje nasze państwo, młode jeszcze i niewykończone, ale zdrowe, rozległe i zamieszkałe przez ofiarny, patriotyczny i nie lękający się walki naród.

Tę prawdę widzieć winniśmy wszyscy i winniśmy ją sobie jasno i wyraźnie powiedzieć w świąteczne dni. Poważną mamy Wielkanoc w tym roku. Mgła zalega całą Europę i dociera także do naszych domów. Lecz nie zamierzamy ustąpić przed niczym. Przeciwnie. Zamierzamy naszą wiarę i naszą ufność głosić wszędzie i zawsze. Wobec przyjaciół i wrogów, wobec dalekich i bliskich. Stąd też czerpiemy pewność, że takie święta będą chyba ostatnie, że po dniach próby i wyczekiwania przyjdzie okres lepszy, jaśniejszy. Przeminie ciężka, dzisiejsza mgła i będziemy mogli oglądać na własne oczy te dobroczynne skutki, które przyniosła naszemu państwu, wszystkim nam razem i każdemu z osobna, hart i odwaga, którą wspólnie okazaliśmy w chwilach niebezpieczeństwa.

Stanisław Domański



Chrystus z monetą. Tycjan

SZTANDAR POLSKI NAD BAŁTYKIEM

(Rozważania wielkanocne)

Gdy przed laty z górą dwudziestu prezydent Stanów Zjednoczonych Wilson w jednym ze swych puntów programu pokojowego ogłosił żądanie odbudowy Polski Zjednoczonej z dostępem do morza, świat cały uznał to za naprawę niesprawiedliwości dziejowej i bez zastrzeżeń uznał stanowisko Polski. Dopiero przy wprowadzeniu w życie tego programu rozpoczęły się zastrzeżenia, które utrudniły jego wykonanie. Otrzymaliśmy dostęp do morza, nie otrzymaliśmy jednak w zarząd miasta Gdańska. Był to błąd, wykrzywiający zasadniczą linię, gdyż Polska ma bezsporne i bezwzględne prawo do całego biegu rzeki Wisły, wzdłuż której rozsiadła się i niedorzecznością jest właśnie u ujścia tej rzeki mieć sztuczną zaporę pod postacią miasta, usiłującego obecnie wytworzyć tam inne stosunki ustrojowe i dążącego poprostu do przyłączenia się do Rzeszy Niemieckiej. Całą tę politykę znamy dobrze z historii. Nie raz i nie dwa porywali się Gdańszczanie przeciw Rzeczypospolitej i szukali związków na północy w Królewcu i na zachód w Brandenburgii. Prawdą pozostało jednak, że cały bieg Wisły należy od tysiącolecia do narodu polskiego i że nikt nad ujściem Wisły do morza prócz Polski panować nie może.

Twórcy Traktatu wersalskiego w szczególności ówczesny premier angielski Lloyd George, zupełnie nie obeznany z sytuacją a pragnący podważyć rzekomo decydującą pozycję Francji, uczynili wszystko, byśmy Gdańska nie dostali. W ciągu ostatnich lat przekonano się w Anglii, że było to nie tylko niesprawiedliwością w stosunku do Polski, lecz także głupstwem z angielskiego punktu widzenia. Dzisiaj Anglicy postępowaliby oczywiście całkiem inaczej. Dzisiaj nikt nie przeczy tej właśnie prawdzie, że każdy naród ma prawo do swego wybrzeża morskiego.

Kogo w tej sprawie mamy przeciw sobie? Nawet kanclerz Hitler w kilku mowach mówił o tym,

że trzydziestukilkumilionowe państwo polskie nie może obejść się bez własnego wybrzeża morskiego. Zdawałoby się, że mamy drogę wyjaśnioną. Ale znowu tak, jak dawniej, przy praktycznym wykonaniu tej zasady, powstają trudności. Rząd kanclerza Hitlera, uznającego nasz dostęp do morza, w praktyce utrudnia jednak współżycie z Gdańszczanami, podniecając ich do skrajnych wybryków szowinistycznych, które nie są bezpośrednio skierowane przeciw Polsce, lecz w gruncie rzeczy utrudniają w dalszym ciągu właściwe zagospodarowanie się Polski nad Bałtykiem. Tysiące i tysiące razy trzeba powtarzać, że taki stan rzeczy na dłuższą metę nie jest do utrzymania, że błąd angielski sprzed laty dwudziestu powtarzają w innym zakresie i w inny sposób Niemcy, którzy zdawien dawna powinni byli zebrać wiadomości o tym czym jest ujście Wisły i do kogo z prawa należeć powinno.

Na mniejszą skalę sprawa Gdańska powtórzyła się w Kłajpedzie. Litwini z największym wysiłkiem dostali się do Kłajpedy, dając jej pełną autonomię. Włożyli mnóstwo pieniędzy w rozbudowę portu i urządzenie miasta. Kłajpeda na nic nie jest potrzebna Niemcom, (chyba jako wypadowa baza morska przeciw Polsce, Rosji i państwom skandynawskim). Kłajpeda może róść i rozwijać się tylko w związku z Litwą, wspomagana przez Polskę. Przed laty dziesięciu w w Anglii i Francji mało kto rozumiał tę oczywistą prawdę. Dzisiaj zaś wiele by dano za to, by Litwini nadal mogli w Kłajpedzie siedzieć. Ale cóż z tego? Zanim zorientowano się w sytuacji, Rzesza Niemiecka zagarnęła siłą Kłajpedę i Litwinom na razie nie pozostawało nic innego, jak przymusowy układ z Niemcami. I tutaj ujawnił się niedwuznacznie i wyraźnie nonsens polityki angielskiej, dawniej nie chciano zapewnić Kłajpedy Litwie, lecz dzisiaj nie stało sił, by bronić jej przed Niemcami. Kłajpedę tylko siłą można odebrać Niemcom, lecz oczywiście obiekt to zbyt mały, by wszczynać z tego właśnie powodu wojnę europejską.

Wyspy alandzkie to małe wysepki, na których jednak można wybudować forty i państwo, które by tam miało bazę morską mogłoby zagrozić Finlandii, Rosji i — Szwecji. Ale przecież — powie ktoś — wyspy alandzkie są w posiadaniu szwedzkim. Tak niewątpliwie, wyspy alandzkie dzisiaj są jeszcze własnością szwedzką, lecz Szwedzi nie umocnili tych wysp, nie posiadają tam najmniejszej nawet siły zbrojnej. Gdyby więc nagle, podczas wojny, jakieś państwo nagle a niespodziewanie zajęło te wyspy, stałoby się — czy Szwecja chciałaby czy nie chciałaby — władcą zatoki fińskiej. Innymi słowy albo Szwecja zrezygnuje z posiadania tych wysp, albo ufortyfikuje i będzie je bronić podczas wojny i pokoju. Ktoś bowiem wyspy te zajmie natychmiast po wybuchu wojny, ktoś, kto zdecyduje się działać. Nie powtórzy się bowiem sytuacja czasów wojny światowej, kiedy można było ogłosić neutralność i czekać, co też bieg wydarzeń przyniesie, aby najlepiej korzystać z wojny i neutralności.

Wiadomo, że na południu Danii mieszka kilkadziesiąt tysięcy Niemców. Niemcy ci obecnie prowadzą gwałtowną agitację i pragną doprowadzić do jakiegoś plebiscytu w południowym, dzisiaj do Danii należącym, Szlezwiku. Nie mają zupełnie ani prawa ani żadnych innych tytułów do swojej akcji. Cóż to jednak znaczy wobec tendencji Rzeszy Niemieckiej, która pragnie i Danię poddać swoim wpływom. Nikt dzisiaj nie wątpi, że na wypadek wojny europejskiej, Niemcy będą się starały w krótkiej drodze oddziałać na Danię i odebrać jej Szlezwik lub w całości Danię od siebie uzależnić. Oczywiście opanowanie Danii oznaczałoby zamknięcie Bałtyku całkowicie i ostatecznie a tym samym państwa skandynawskie znalazłyby się w całkiem nowej sytuacji. Anglia nie miałaby wiele do powiedzenia wobec oczywistej i bezwzględnej preponderancji Niemiec. Wyspy alandzkie i Dania — oto dwa słupy graniczne akcji niemieckiej na Bałtyku. Aby ów potężny program przeprowadzić, należało ubezwładnić Polskę i Litwę. Polska ma jeszcze coś do powiedzenia w Gdańsku i nie da sobie wydrzeć swoich oczywistych i w dodatku bardzo ograniczonych i niepełnych praw. Litwa musiała skapitulować na razie, skapitulowała jednak niechętnie i gotowa była się bronić, gdyby obrona czynna, dawała jej jakieś szanse wygranej.

Pozostaje Łotwa i Estonia. W stolicy Łotwy, w mieście Rydze, żyje jeszcze wielu Niemców. Na nich to opierają politycy Trzeciej Rzeszy swoje nadzieje. Mniemają, że prędzej czy później Niemcy w Rydze zażądają dla siebie autonomii. Dopóty Kłajpeda była w ręku Litwinów, trudno było myśleć o takiej akcji. Obecnie armie niemieckie zbliżyły się na tyle do Rygi, że można pomyśleć o różnych posunięciach, które zagrożą od wewnątrz Rydze a tym samym całemu państwu łotewskiemu.

Estonia jest zbyt małą, by mogła prowadzić samodzielną politykę a przy tym musi ciągle pamiętać o swym potężnym sąsiedzie Rosji, która dość niechętnie widzi wszelkie przejawy samodzielności politycznej w małym państewku nad Bałtykiem. Gdyby więc Łotwa była zagrożona w swej samodzielności, wówczas Estonia, chcąc nie chcąc, szukałaby oparcia tam, gdzieby je dostać mogła. Rzesza Niemiecka nie omieszkałaby zapewnić swej opieki za cenę — kapitulacji.

Jeśli więc kiedyś widziano dokładnie jakiś program polityczny to niechybnie widzimy go teraz na Bałtyku. Nie przewidujemy w tej chwili, jaki obrót wezmą sprawy w krajach nadbałtyckich. Przypuszczamy, że instynkt samozachowawczy i chęć obrony drogo okupionej samodzielności jest dostatecznie silna, by w początkach przynajmniej stawić opór zdecydowany i zacięty. Oczywiście mielibyśmy tutaj do czynienia ze zmianami, dokonanymi w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa, in articulo mortis, jak to się mówi przy łożu chorych śmiertelnie. Gdyby jednak miały zajść takie zmiany, mogłyby zajść tylko wbrew nam, przy naszej zupełnej słabości i nieobecności. Nigdy dotąd nie prowadziliśmy polityki, któraby wykluczała nas z wszelkich posunięć nad Bałtykiem i nigdy takiej polityki prowadzić nie będziemy. Ale musimy być w Gdańsku, by w ogóle na Bałtyku coś znaczyć. Musimy panować nad helską zatoką a nie dzielić się w panowaniu z obcą i nie zawsze przychylnie nastrojoną flotą.

Kto powiada że można tam coś uzyskać kompromisem ten myli się bardzo i niebezpiecznie. Właśnie dlatego, że nie wyjaśniliśmy dostatecznie wcześnie i dostatecznie energicznie naszych stosunków z buntowniczym Gdańskiem, przyszły teraz wypadki kłajpedz-

(Dokończenie na str. 343-ej).

MARIA DĄBROWSKA



WIELKANOC

A gdy nadchodził Wielki Post — czy pamiętasz?

Na polu błyszczała srebrna skiba przecudnym kształtem lemiesza i długa już była niezmiernie ostatnia godzina dnia. Ojciec przychodził z butami mocno okraszonymi błotem, w domu było tak niezmiernie cicho. Siadał na swym fotelu, na który ty i ja wyszyliśmy poduszki w krwawe róże z cynamonowym cieniem i śpiewał Gorzkie Żale.

Śpiewał cicho, prawie mruczał chrypką spracowanego człowieka, tonami, które raz po raz ginęły przerywane głębokim zamyśleniem.

— Rozpłyńcie się me źrenice, śpiewał — i toczcie smutnych łez krynice.

I potem znowu:

— Płaczcie wesołe, niebieskie pokoje, na dzień dzisiejszy i sieroctwo swoje.

— Płacz, śpiewał, słońce, płacz koło miesięczne, zalejcie gwiazdy światła swoje wdzięczne.

***

Na dworze wlokły się odwilże niepogodne, to znów nadchodziły dnie zjadliwie zimne, ni to mroźne ni to wiosenne, nieprzytulne, jakby sama pogoda miejsca sobie znaleźć nie mogła. Ach, tak pisklliwie gwizdał wtedy wiatr i tyle śmieci walało się koło domu. Z przenikliwym niepokojem w skokach pędziły po dziedzińcu złamane źdźbła słomy i wielkie czarne gałęzie, podobne do pająków. Naga, wilgotna, lśniąca ziemia stawała się jasno popielata, chropawa i ściągnięta. Śniady i nieprzychylny patrzył przez okna świat i paliło się w piecach na nowo.

Aż nagle przechodziły dnie, że nic się nie wiedziało z radości. Wiosna stawała między wyniosłymi bladymi od mglistej wilgoci drzewami. Z popielatego nieba sypać się zdawały parmeńskie fijołki. I słońce rozświecało nagle i diamenty jaśniały na gałęziach kasztanów i szafirowe indory toczyły się z cudownym szumem po trawniku, na którym snuł się gdzieniegdzie wątły ścieg, wschodzącej trawy.

Nad wieczorem różowe słońce świeciło w salonie na porcelanowym i szklanym wazonie, jak wino.

***

Raz w Wielki Piątek zabrali nas rodzice do miasta na Groby.

Kareta zatoczyła się powoli, aż do kamienicy, gdzie mieszkał wuj.

Gdy stanęła, słychać było, jak po wszystkich ulicach stukają kołatki, stukają sobie, stukają sobie smutno.

Baby idą i chwytają rękoma chusty, w które uderza raptowny wiatr. Wysypuje się on, sycząc, zza węgła i ciska w oczy zimny piasek.

Poszliśmy parkiem do fary. Na niebie chmury ciągną się i taszczą z wysiłkiem, drą się o złoty krzyż.

Widzieliśmy w parku staw, na którym potargało się szkliwie lodu, woda tłukła się między brzegami na obraz istoty szlochającej i łamiącej ręce. Tam wystraszyliśmy się, bo kołatki zaszczekotały tuż nad uchem, jakby kto zęby wyszczerzył.

Baliśmy się też, bo za drzewami parku leżało tyle ciemności chociaż, pomyślcie, był to dzień.

W kościele ktoś szepcze nieustannie. Ktoś porusza się nagle w konfesjonale, gdzie przysiągłbyś, że nikogo nie było. Śród niegłośnego mamrotu pada czyjeś głośniejsze słowo, podobne do jęku. Rozlega się wzdech przepaścisty. Ach któż tam się martwił tak bardzo?

Mrok i światło, nie przenikając się wzajemnie, istnieją tam w ostrych kontrastach, a mnogość kroków szeleści jak raki w koszu.

Staliśmy, długo, nie widząc i nie rozumiejąc, jak pod kloszem żałobnej ciszy.

Aż zobaczyliśmy nagiego pana Jezusa. Był różowy, taki podobny do żywego śpiącego człowieka. Miał ciemną brodę, miał prawdziwe zamknięte oczy i w smutnym blasku świec zdawał się wodzić źrenicami pod niebieskawą powieką. Stały nad Nim kolące twarde palmy i połyskliwe, nigdy nie kwitnące rododendrony. I strażnicy w lśniących kaskach, jak żołnierze z Historii Świętej.

Gdybyśmy śmieli! Bo chcieliśmy zawołać na Niego: Że mu oddamy wszystko, jakie tylko są zabawki, niech tylko zmartwychwstanie i niech przyjdzie do nas, do pokoju w niebieskie irysy. Oddamy mu najpiękniejszy kaktus różowy z okna Matki. Łzy płynęły nam z oczu gorące, jak ogień.

***

Gruchocząc na bruku, a dudniąc po szosie, wlokła się tędy rędy stara familijna landara z powrotem do domu. Przysiadała w wybojach i balansowała po kamieniach, pogadując mrukliwie.

Aż się nam w końcu zdawało, że to na miejscu kareta podrygu-

je, chyla się i marudzi, a koło okien sunie szary majak pochylonego świata.

Gdyśmy stanęli wreszcie w mrokach ogrodu, biegnąca za oknem zjawa stała się nieruchomym nadwieczornym krajobrazem, w którego nagłej ciszy jakiś bezsenny ptaszek bił na dwa tony, niby w kowadełko.

***

I jeszcze tamten Wielki Piątek pewno pamiętasz także.

Powietrze jakby przydymione. Zachodzące słońce zanurza się w czerwonawym wyziewie.

Między znieruchomiałymi, czarnymi gałęziami drzew szeleszczą skrzydła aniołów, którzy płaczą tak rzewnie, że „któż żałość ich wypowie".

Śpiewaliśmy wtedy wespół z nianką, starą kantyczkę, zalewając się łzami, gdy Pan Jezus mówił do Matki.

— Miła Matko racz mnie puścić, noc ci blisko, już nam czas iść, już nam czas iść.

Jaka to była noc, jaki to strach był myśleć, że Jezus sam idzie na Oliwną Górę. Bo wyobrażaliśmy ją sobie, jak strych naszego domu, to zbiorowisko strachu i pokusy.

Wtem nianka, pokazując palcami na zachodzące za oknem słońce, zaśpiewała straszliwym głosem:

— ...Widząc Stworzyciela swego, na krzyżu zawieszonego, na słońcu upieczonego, baranka wielkanocnego. —

I kazała nam patrzeć, jak się na słońcu Baranek Boży bije ze Złym. Patrzyliśmy w małą purpurową kulę słońca tak długo, aż nam staneła w samych źrenicach, i gdziekolwiek obróciliśmy oczy, widzieliśmy ją także.

Na drzwiach — na podłodze.

***

Ale pamiętam jedną Wielkanoc, na którą wiosna przybyła w całej pełni. Jej rzesiste nagrzane deszcze padały, jak rzewny płacz we śnie. Bo snem zdawało się być powietrze i śpiew skowronka w głębiach dyszącego nieba i wszystko.

Uśmiech słońca rozwidniał pachnącą deszczem pianę chmur, a niektóre drzewa stały w leciuchnej gniecionej krepie, wczoraj rozpukłych malutkich liści.

Było tak niewiarogodnie ciepło, że Matka nie mogła w domu wytrzymać.

Wyniesiono więc baby i placki na dwór, aby przeszły wiosennym powietrzem. Pieczone ciasto roznieciło wokoło swe korzenne aromaty, a myśmy kręcili lukier w wielkiej donicy.

Stawy szkliście błyszczą między drzewami.

Żaby dzwonią w nich swój drzący wysoki tryl.

I nagle cichną.

W Wielką sobotę słońce rozwiane było wszędzie, nieuchwytne złoto - różowe i blado - lila.

Znikome, cudowne ścieliły się po ziemi modre cienie gałęzi.

Nakształt różowego koralu świeciły w bławatnych niebiosach nagie sploty i skręty akacji.

Z łąki płynęła woń fiołków ożywcza i niewinna.

Więc pobiegliśmy na łąkę.

Pod żywopłotem krategusów leciuchny skłon, pokryty przezroczystym szmaragdem wiosny, pełny był fiołków.

Świeciły na podścielisku obłych liści, prawdziwie jak fioletowe krople niebiańskiego napoju wiosny.

Myśmy nie spodziewali się, żeby ich tyle nakwitło przez jedną, na miłość Boską, noc. Takie miały malutkie fiołkowe liczka, uniesione z nad zgiętej bylinki.

Zerwaliśmy ścisły, mocno źdźbłem trawy uwiązany bukiecik.

Pobiegliśmy do domu. Położyliśmy tę fiołkową, woniejącą grudkę na świątecznym stole, pośród sztywnych borówek, tuż u stóp cukrowego baranka.

Byliśmy szczęśliwi.

Obeszliśmy stół dookoła. Wciągnęliśmy w nos słodszy od cukru zapach wanilii, przypaloną woń migdałów — gorzki aromat pomarańczowej skórki — i ostrą wonność pieczonych ciast. Na końcu języka czuliśmy pachnącą słonność pozłocistej skórki indyka i kruchą delikatność białej cielęciny.

Oczy nam ze skóry wyłaziły, tak że nas w końcu przepędzono na dwór, żebyśmy wyglądali na księdza.

Przed domem w całym okręgu dziedzińca na jego białych kamieniach siedziały baby ze wsi — pobożnie jak na mszy.

Koszyki ze święconem stały przed nimi niedomknięte — pachnące zdaleka szafranem, kiełbasą i chlebem. Dziedziniec wysypany był grubym piaskiem. Wilgotne grudki centkowały ziemię niczym okruszyny słońca.

I pamiętam to w istocie — że słychać było wówczas w powietrzu, jakby niezmiernie daleką nabożną pieśń — a nieco obrzędowej zadumy było we wszystkich twarzach.

Drzwi domu pootwierano naścieżaj, by wszystko było razem.

Nie trzeba się od niczego odgradzać. — Niech po pokojach chodzi słońce i niech chodzą dzieci chłopskie. Niech wejdzie wyżeł Tumry i rozedmie płaty nozdrzów, ciągnąc duch dziwacznie pięknego jedzenia. — Niech sobie wszyscy z domu wychodzą na dwór, nie ruszając klamki. — Niech sobie Matka usiądzie między babami. — Niech się i ona im poskarży na swoje stare kłopoty.

Na stół świąteczny padło słońce i odziało pozłotą rdzawe ciasta. — Między zielenią borówek, fiołki spinały białe festony obrusa na kształt ametystowego guza.

Gdy ksiądz przyjechał i z pomrukiem pacierza strzasnął kędziory kropidła, przeleciały krople święconej wody przez obszar słońca brylantowymi skrami i jak gwiazdy — padły nam w lica i w oczy.

***

Oto Wielka Niedziela. — Tego się już takimi oczami nigdy nie zobaczy.

Pamiętasz pokoik na górze? — pokoik dziewczynek?

Budził nas tryumfalny huk wystrzałów — rozlegający się z oddali. — Za oknem piskała zięba i sikorka wybuchała co chwila swym czarującym śmieszkiem. Niebo świetliste, głęboko szafirowe, tak niezmiernie prześliczne, że nie da się to żadnymi słowami opisać, majaczyło niby widzenie samego raju. Topole o purpurowych baziach zlekka się kołysały w topieli błękitu. Między ich wierzchołkami pławił się w tych wiośnianych niebiosach księżyc blado żółty, niemal przeźroczysty.

Taki był wielkanocny świt.

Raz ojciec zabrał nas na rezurekcję.

Pędziło się co koń wyskoczy, żeby zdążyć.

Coraz bardziej różowe stawało się powietrze, jakgdyby pędziło także i nabiegało krwią zmęczenia.

I dzwony — dzwony — dzwony. — Cudowna pieśń spiżu rozlegała się wszędzie — i nic jej zagłuszyć nie mogło.



A tam w kościele, porwał nas i rozniósł na strzępy i na pył olbrzymi głos organów i łoskot palonych z moździerzy vivatów. Przestaliśmy się czuć i staliśmy się częścią oszalałego aleluja. Ale gdy rozwiały się zawrotne dymy trybularzy — i nie wyszedł z pieczary żywy Chrystus, płakaliśmy tak gorzko.

Nie pocieszyła nas skrząca w pieczarze Monstrancja.

Gdyśmy szli w Wielką Niedzielę na śniadanie, świeża bielizna aż kłuła nas sztywnym krochmalem.

Mieliśmy białe fartuszki i wykładane kołnierze.

Mieliśmy wielkie kokardy z niebieskiej mory we włosach, a węzły różowych fularów zakrywały chłopakom usta. Ojciec się śmiał Czy to może być kiedy zapomniane?

I zjadaliśmy na śniadanie każde wierzch swojej babki, przesycony słodkim lukrem i aż wilgotny. — O śmieszne, dobre czasy!

***

Uśmiechaliśmy się bezbronnie i głupio, kiedy się z nami Rodzice dzielili jajkiem. To było strasznie przyjemne i zawstydzające. Składali nam życzenia, a myśmy nie mogli powiedzieć ani słowa. Już nie wiem, czego nam życzyli Rodzice, ale chyba Bóg wie nie czego, bo nam z tych życzeń jeszcze do dziś dnia szczęście do rąk szczodrobliwie płynie, choć nic nie mamy i mało kim jesteśmy.

Przy śniadaniu wielkanocnem tak było wszystko zimne, że nam ręce marzły, szczególniej od rzodkiewek studzienną wodą umytych.

A potem dostawaliśmy po prawdziwym puharze słodkiego muszkatu i po kilka złotych kropel miodu.

To wprawiało nas w taki zachwyt, że wycyganialiśmy drugą porcję.

Zasypialiśmy tego dnia w zimnych i lśniących płótnach pościeli rozradowani do głębi duszy bez jednego cienia smutku, z migotem pieśni tryumfu przenikającym nas na wskroś, brzmiącym w każdziutkiej kropli krwi.

***

W drugie święto jeździliśmy z Matką na Sumę.

Pieśń zdawała się roznosić malutki kościół drewniany.

Oślepiająco jaśniały czepce kobiet obciśnięte dookoła twarzy wstęgą, z pod której książęco piękny rurkowany brzeżek wyglądał.

Za kobietami czerniał mur chłopów: stali rzędem, każdy z płomykiem świecy przed piersią, każdy z równo uciętą grzywką włosów nad czołem i wygoloną, twardo w przestrzeni tkwiącą twarzą. Tchnęli wszyscy z szeroko rozwartych ust szaloną pieśnią.

Tkliwie i cienko jedną piszczałeczką przewiercał krzyk pieśni wątły wtór organów, i huczał ponad wszystkimi władczy głos organisty.

— Chrystus zmartwychwstał jest!

***

Nam się wydawało, że ramy okien są szafirowe, ściany też.

I że na poprzek ścian aż po strop rozłożyły się długie złote pióra skrzydeł olbrzymiego Anioła.

Zasypialiśmy z oszołomienia. A otwarłszy z trudem ciężkie powieki, widzieliśmy w otwartych wierzejach kościoła, nad głowami klęczących ludzi świat malutki, daleki, wyraźny aż po krańce ziemi, i obsiadające szczyt uchylonej wrótni białe motyle.

(M. Dąbrowska: „Uśmiech dzieciństwa", wyd. Mortkowicz).



Przetaczanie kloca

Lasy malajskie

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu półwysep Malajski był nieprzebytą i niezbadaną dżunglą. Na wybrzeżu morskim tu i ówdzie wegetowały małe, nawpół suwerenne państewka sułtanów i książąt malajskich, wnętrze było niezamieszkałe i niedostępne. Czasy się jednak zmieniły. Zjednoczone Państwa Malajskie, jak brzmi oficjalna nazwa tych posiadłości brytyjskich, stały się ważnym producentem drewna, a tym cenniejszym, że o niewyczerpanych wprost rezerwach leśnych. Dość powiedzieć, że angielska strefa wpływów posiada blisko 128.000 km² powierzchni z której co najmniej 77% jest pokryte lasami.

Lasy półwyspu — to w przeważającej części dżungla tropikalna. Gorący, wilgotny klimat, z periodycznymi wielkimi opadami sprzyja bujnej wegetacji. Nic też dziwnego, że w wielu miejscach las ten dla podróżnika jest nie do przebycia. Sploty lian i gałęzi jakby świadomie starają się powstrzymać wszelki ruch człowieka, nogi grzęzną w mchu, olbrzymie paprocie uniemożliwiają posuwanie się naprzód. Gdzie niegdzie tylko rozsiane są prymitywne osady pierwotnych szczepów trudniących się rybołóstwem, myślistwem i zbieraniem owoców.

Stan rzeczy zmienił się pod wpływem energicznej eksploatacji lasów. Powstały osiedla zamieszkałe przez drwali tubylców i białych, kierujących robotą. Tajemniczość nieprzebytej puszczy została mocno nadszarpnięta przez liczne szlaki komunikacyjne. Do transportu drzewa zastosowano specjalny system budowy dróg. Przez całą szerokość ścieżek ułożono wpoprzek szereg pali, a po nich dopiero, jak po podkładach ciągnie się potężne kłody. Czasem robią to drwale, czasem woły. Większą część drzewa spławia się do wybrzeża rzekami i potokami. Nie raz ścięte pnie czekają w wyschniętym łożysku aż przyjdą opady, które wypełnią koryto wodą.

Dzięki różnicom wysokości i gleby, lasy półwyspu nie przedstawiają tej jednolitości, o jakiej może być mowa w Europie. Zasadniczo odróżnia się 5 typów lasu. 1. Nadbrzeżny las prawie, że bez wartości ekonomicznej, złożony z krzaków i palm. 2. Typowa dżungla podzwrotnikowa, rosnąca na bagnie, obfitująca bardziej w pnącza i krzaki, niż drzewa. 3. Wysokopienny las wilgotnego obszaru zajmujący 75% ogólnej powierzchni. Rosną tu wszystkie najbardziej wartościowe gatunki charakterystyczne dla flory półwyspu, a więc: cenny heban, doskonały do budowy łodzi i statków, tek, drzewa dostarczające tak poszukiwanego przez przemysł soku kauczukowego, tj. rodzimy ficus elasticus i sprowadzona z Brazylii herca, oraz drzewa, z którego dobywa się gutaperkę. Powyżej 100 m kończy się tropikalna dżungla. Rośnie tu wysokopienny suchy las, dają-



Transport drzewa w dżungli malajskiej

cy dobry budulec, czasami spotyka się nawet sosnę. Wreszcie piąta kategoria to lasy rosnące na wysokościach ponad 2000 m. Drewno stąd używane jest do budowy miejscowych chałup i na opał. Teoretycznie zarząd sprawują departamenty leśne Zjednoczonych Państw, w istocie całą pracą kieruje dyrekcja leśna Osad Cieśninowych (terytoria pod bezpośrednią administracją W. Brytanii).

Lasy podmokłe, jeszcze niezbadana dżungla już podlega eksploatacji. Prowadzi się drogi, buduje osady, ścina drzewa. Część wyrębów zostaje oddawana pod uprawę sprowadzonym z wybrzeża kolonistom, część zasiewa się specjalnymi gatunkami drzew jak np. gumowiec brazylijski — herca lub też pozostawia samoistnej regeneracji.

Trzeba jednak stwierdzić, że mimo dużego nakładu pracy drewno miejscowe nie posiada tej wartości co drewno lasów strefy umiarkowanej. Na rynku daleko-wschodnim dużo więcej ceni się zwykłą sosnę z nad brzegów Bałtyku, jak najwspanialsze olbrzymy puszczy tropikalnej. Wprawdzie dyrekcja lasów uważa to za „dziwne i niesprawiedliwe uprzedzenie“, tym nie mniej jednak azjatyccy bussinesmeni zapewne się nie mylą.

Handel drzewem dla rozwoju ekonomicznego półwyspu posiada znaczenie kapitalne. Suma blisko 13 milionów dolarów za rok 1937 reprezentuje prawie cały handel tych odludnych i niezdrowych okolic. Wszak poza drewnem, węglem drzewnym, kauczukiem, gutaperką, roślinami włóknistymi, tereny leśne nic nie produkują ani eksportują. Niewielka produkcja w 1937 r. tłomaczy się działaniami wojennymi w Chinach, przez co główny rynek zbytu został zamknięty.

Wprawdzie z eksploatacji lasów ciągną zyski angielskie towarzystwa, tym nie mniej w ogromnym stopniu przyczynia się ona do rozszerzenia zasięgu kultury na cały szereg szczepów pozostających jeszcze w stanie zupełnie dzikim, oraz daje ziemię ludności malajskiej, nie mogącej się pomieścić na ograniczonych nadbrzeżnych terenach uprawnych.

St. Lukas.



Pieta drzew. Skoczylasa

PIEŚNI WIELKOPOSTNE

Kult Męki Pańskiej i kult Krzyża Świętego są zasadniczą treścią pieśni, rozbrzmiewających melodiami pełnymi powagi i smutku w czasie Wielkiego Postu, który poprzedza radosny dzień Zmartwychwstania Pańskiego.

W tym okresie pokutnym i dziś, jak przed wiekami, wierni wyznawcy Chrystusa wznoszą myśl ku Bogu, rozpamiętują Mękę i Śmierć Jezusa, żałują za grzechy, zwracają się do Swego Stwórcy z błagalną pieśnią:

„Nie gardź Boże miłosierny
„Skruchy łzami, modlitw słowy,
„Które przelewa lud wierny
„W Post Święty czterdziestodniowy

Owieczna to pieśń. Zrodzona na ziemi polskiej, podłożona pod melodię XVI wieku, zaczerpnęła treść z Hymnu nieszpornego Świętego Grzegorza Wielkiego.

Jak wiele innych łacińskich pieśni kościelnych, hymn ten, pochodzący z VI wieku, zawitał do Polski z Zachodu, wraz ze światłem wiary Świętej, z obrzędami kościelnymi i nabożeństwem religii rzymsko - katolickiej, która tak ważną rolę odgrywa w kulturze naszego narodu.

Z biegiem czasu, łacińskie pieśni kościelne, niezrozumiałe dla szerokich rzesz ludu, zaczęto tłumaczyć na język polski, a potem tworzyć pieśni oryginalne. Duchowieństwo bowiem rozumiało, że pieśń nabożna, śpiewana w języku ojczystym, utrwala zasady wiary, zespala z kościołem i religią lud i

wychowuje go etycznie, budząc uczucia wzniosłe.

Ziarna łacińskich pieśni, rzucone na naszą niwę, przeistoczyły się w duszach polskich twórców, rozkwitły pięknem słowa i melodii. Nawet pieśni tłumaczone z łaciny, przybierały charakter pieśni polskich. Tak więc przekład łacińskiej prozy (sekwencja) z XIII wieku złączona z melodią XVI wieku dziś rozbrzmiewa, jako polska pieśń wielkopostna:

„Stała Matka Boleściwa
„Pod Krzyżem wielce cierpliwa
„Na którym Syn Jej wisiał".

A Hymn łaciński z VI wieku „Crux fidelis" przetłumaczony i podłożony pod melodię XVI wieku, stał się jakby rdzennie polską pieśnią, pełną uwielbienia dla drzewa Krzyża Świętego i współczucia dla Matki Bożej:

„Krzyżu Święty nade wszystkie
drzewo przenajświętsze
„W żadnym lesie takie nie jest, na
którem Sam Bóg jest;
„Skłoń gałązki Drzewo Święte,
ulżyj członkom tak rozpiętym,
„Spuść leciuchno i cichutko Ciało
Ciało Króla Niebieskiego".

Dorobek polski na polu pieśni kościelnych odznacza się bogactwem treści i melodii i wielką obfitością.

Wśród nich jedną z najdawniejszych jest: Żołtarz (psałterz) Jezusa, czyli 15 rozmyślań o Bożem umęczeniu". Ułożona przez błogosławionego Ładysława z Gielniowa w 1488 r. brzmi smutną melodią. Zaczyna się słowami:

„Judasz Jezusa przedał za pieniądze nędzne,
„Bóg Ojciec Syna zesłał na zbawienie duszne".

Bardzo dawną jest tak często dziś śpiewana pieśń:

„Jezu Chryste Panie miły"
„Baranku bardzo cierpliwy"...

którą zawdzięczamy twórczości Abrahama Rożniatowskiego w 1610 r.

Polskie pieśni wielkopostne, jak „Gorzkie Żale" na przykład, rzewną nutą i wzruszającymi słowami płaczą nad Męką i Śmiercią Chrystusa i nawołują do pokuty. Są wyrazem żałości i smutku, miłości człowieka ku Stwórcy, ufności w Bogu, wiary w Jego miłosierdzie; są jednocześnie uznaniem nicości grzesznego człowieka i błaganiem o przebaczenie win wszelkich.

Polska twórczość religijna spotęgowała się w okresie klęsk i wzmożonej pobożności w XVII w. i w piewszej połowie XVIII.

Niektórzy twórcy z tych czasów, towarzysząc w pieśniach Chrystusowi na Kalwarię, pragnęli, aby wszelkie stworzenie i cała przyroda dzieliły ich smutek i żałość i wspólnie przelewały łzy na widok cierpień Jezusa. Wtedy to powstały w XVIII stuleciu mało znane nam strofy, naśladujące hymny Jana Kochanowskiego:

„Płaczcie anieli, płaczcie duchy
Święte,
„Radość Wam dzisiaj i wesele
wzięte,
„Płaczcie przy śmierci, płaczcie
przy pogrzebie
„Króla Waszego i Pana na
niebie".
„Płacz jasne słońce, płacz koło
miesięczne,
„Zalejcie gwiazdy światła Wasze wdzięczne...
„Płaczcie pustynie i wy cedry
śliczne
„I wy też płaczcie lasy okoliczne....
„Płaczcie ptaszęta i płacz bydło
polne,
„Płacz na ostatek człowiecze,
swawolne...
„Płacz na ostatek człowiecze,
któremu
„To wszystko gwoli stworzone
samemu;
„Dopommóż tedy wszelkiemu
stworzeniu
„Płakać nad Panem w Jego
umęczeniu".

Śpiewy wielkopostne przetrwały wieki, zjednoczyły liczne pokolenia i wszelkie stany. Zawsze żywe i pełne wyrazu płyną po całej Polsce wraz z głosem dzwonów kościelnych. Lecz w dzień Męki i Śmierci Chrystusa — w Wielki Piątek dzwony milkną i tylko kołatki wzywają wiernych na modlitwę. Wówczas spieszą tłumy pobożne „na groby", aby w skupieniu i ciszy upaść na kolana, pochylić głowy i ukorzyć się przed Ukrzyżowanym. A gdy na niebie gasną wieczorne zorze, cichną wiosenne głosy ptactwa i spokój zalega pola, płyną w dal z kościołów wiejskich pieśni nabożne. Rozbrzmiewają żałością „Gorzkie Żale", po nich wznosi się ku niebu przesmutna pieśń z XVIII w.:

„Wisi na krzyżu Pan Stwórca
nieba,
„Płakać za grzechy człowiecze
potrzeba.
„Ach, ach! na krzyżu umiera
„Jezus, oczy swe zawiera".

Następnie rozlega się jeszcze trzykrotne błaganie!

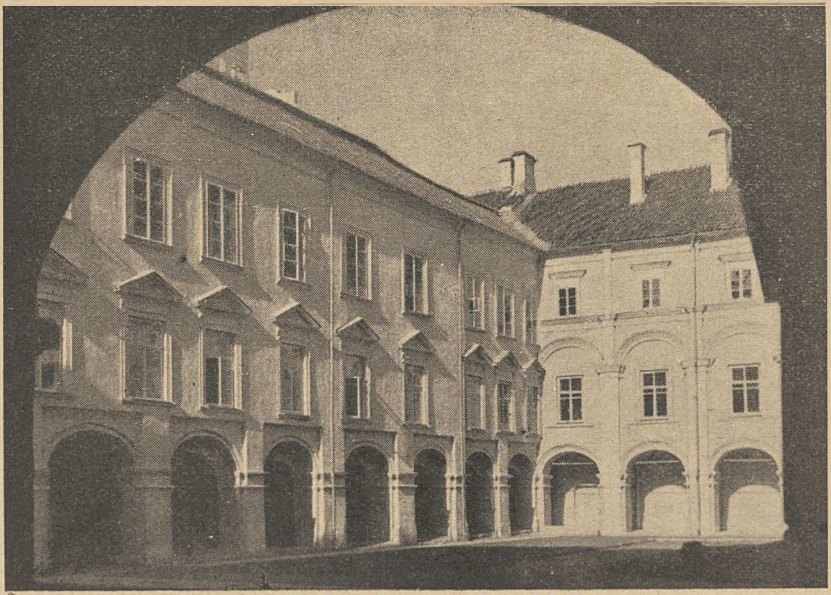
„Któryś za nas cierpiał rany
„Jezu Chryste zmiłuj się nad
nami.

kończąc smutny dzień Wielkiego Piątku i okres pokuty.

M. Garszyńska.

Drogim naszym Czytelniczkom i Czytelnikom przesyłamy życznia świąteczne „Wesołego Alleluja"

Redakcja



Z wydawnictwa pocztówek „Książnica-Atlas“

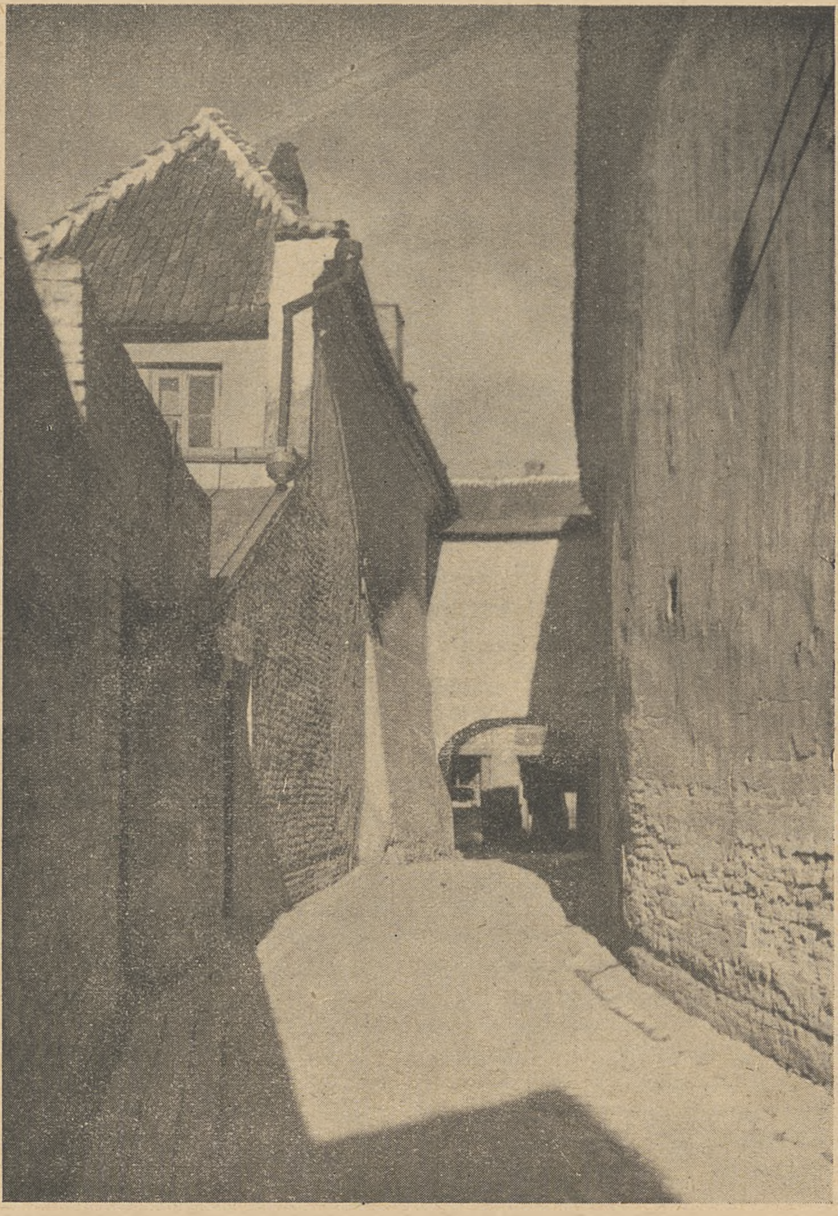
PIĘKNO MIAST POLSKICH

W I L N O

Uniwersytet St. Batorego (dziedziniec Skargi)

Zaułek Skopówka

fot. J. Bułhak



TADEUSZ PISARSKI

NIE MA JUŻ DZIKÓW

(ze „Wspomnień starego myśliwego")

Pomysł tego polowania zrodził się w myśliwskiej głowie pewnego mojego znajomego, w mieszkaniu którego podziwiałem rozmaite rogi i czaszki zastrzelonych kozłów i jeleni, gdzie na podłodze leżała „prawdziwa" skóra dzicza, a wszystkie prawie walizy były uszyte ze skór ofiar własnoręcznie zastrzelonych. Pewnego dnia zapytano mnie:

— Czy nie wybrałby się pan na polowanie na dziki, pod Pistyń?

Pistyń leży sobie pod Kosowem, niedaleko Czeremoszu. Były to ostatnie dni, w których wolno polować na dziki, mniej więcej koniec lutego. Czułem wprawdzie w sobie początki grypy, którą wypróbowaną metodą wypędzałem alkoholem, ale zdecydowałem się od razu.

I tak, kombinowanym sposobem, bo koleją i autobusem P.K.P. wyjechaliśmy ze Lwowa na to polowanie. Polowanie było na razie ciągle jeszcze przyjemnością. Zaczęliśmy je oczywiście w wagonie restauracyjnym, potem na miejscu, w Pistyniu, dano bardzo dobre jedzenie. Można było żyć.

Nie byłem nigdy łowcą z profesji. Toteż mój rynsztunek łowiecki składał się przede wszystkim z zapału i zamiłowania. Nie miałem nawet narzędzi, z których wylatuje śmierć. Ale człowiek, który stąpa we własnym domu po skórach pomordowanych zwierząt, wiesza palta na ich rogach i „podróżuje w walizkach z ich skór uszytych", taki człowiek ma nadmiar tych rzeczy.

— Pójdziemy na zasiadkę — posłyszałem przy kolacji. — Na zasiadkę to na zasiadkę, dlaczego nie. Owszem.

Ale żeby móc iść w góry na noc zimową, trzeba mieć poza strzelbą i zapałem pewne części nieodzownej garderoby. Z zapasów starego myśliwego zafasowałem to i owo i wkrótce wyglądałem jak wolny strzelec kanadyjski, wybierający się nie tylko na dziki, ale na niedźwiedzie, bawoły, karibu i na czerwonoskórych w dodatku. I to gdzieś w okolicach bieguna. Wzułem na nogi jakieś fantastycznie wysokie, sznurowane buty. Pod kurtką, znacznie na mnie za dużą i ściągniętą romantycznym pasem, miałem jakieś komplety koszulek. Dostałem dubeltówkę (mój współtowarzysz wziął sztucer) i wyglądałem naprawdę fantastycznie. Po prostu żałowałem, że w okolicach Pistynia nie mieszka nikt z moich znajomych, żeby mnie mógł oglądać w tych szatach i powadze łowcy i zabójcy zwierząt. Nie mogłem bowiem liczyć na to, że swoim sportowym i myśliwskim wyglądem zaimponuję temu, któremu zawdzięczam to wszystko. Mogłem tylko sam patrzeć na siebie z dumą. I byłem dumny, niepokoiła mnie tylko owa grypa, którą czułem i nie czułem jednocześnie. Katarek w każdym razie był i to porządny. Grał w płucach jak trzeba.

Wyszliśmy wreszcie pod gwiazdy błyszczące jak śnieg pod naszymi nogami. Tuż nad nami, ukośnie zwieszał się Orion, olbrzymi łowca, patron myśliwych greckich, polujący na niezmierzonych przestrzeniach niebieskich w towarzystwie psa Syriusza, na Byki, Barany, Wielką Niedźwiedzicę i wszystkie inne zwierzęce konstelacje Zodiaku. Umieszczono go na tym niebie przed tysiącami lat, aby w zimie, w sezonie myśliwych, nie przerywał ulubionego zajęcia, z którego zasłynął w całej starożytnej Grecji.

Przerażony zapewne jego obecnością na drogach i przesmykach międzyplanetarnych, księżyc schował się do jakiejś chmurzystej mysiej nory, jako że to zwierzę niebieskie jest pyzate, spokojne i tłuste, trudno mu uciekać a łatwo dostrzec z powodu przyrodzonego blasku. To jednak utrudniało nam, a przynajmniej mnie, poruszanie się w górskim terenie, na który zaczęliśmy się niebawem wspinać. Gwiazdy błyszczały bardzo okazale, ale nie tak jasno jak ta przyrodzona latarnia nocy, której bardzo mi brakowało. Toteż zacząłem zapadać często i głęboko w mokry, zbity śnieg leśny i sapać jak zmęczona lokomotywa. Lokomotywa w dodatku zagrożona grypą i zakatarzona. Nie było już wcale tak wesoło.

Westchnąłem cicho i zapaliłem papierosa. I w tej samej chwili mój znajomy, który milczał groźnie przez cały czas tego marszu po nierównościach górskich, wydał z siebie złowrogi pomruk, a potem usłyszałem jego zdławiony, groźny szept:

— Niech pan nie pali...

Ten szept syczał po prostu oburzeniem. W tej samej chwili rzuciłem papierosa, przydusiłem go dokładnie nogą i obejrzałem się jeszcze podejrzliwie.

— Dlaczeeego? — zasyczałem równie konspiracyjnie i przejmująco.

— Bo dziki!

— Gdzie? — szeleściłem jak strumień leśny.

— Tutaj. Przechodziły tędy niedawno. Nie widzi pan śladów?

— Śladów? — On widzi ślady. Tutaj w ogóle nic nie widać. Chcąc rozwiać moją niepewność, mój towarzysz poprowadził mnie milcząc w bok i pokazał istotnie zryty nieco śnieg. Nie było wprawdzie dowodów, że nie zrobił tego kto inny, ale musiałem ustąpić i pokiwać nawet poważnie głową. Bardzo lubię kiwać poważnie głową.

Zrezygnowałem z papierosów, które tak bardzo pomagają żyć w samotności i w lesie, a zająłem się cukierkami, które miałem w kieszeni. Kiedy się je cukierki w głuchej ciszy, kiedy się w dodatku idzie i to z katarem, trudno nie wydawać dźwięku, który określiłbym jako cmokanie, albo mlaskanie. Jest to dźwięk w każdym razie pośredni między tymi dwoma określeniami. Znowu nie zastanowiłem się nad konsekwencjami swojego lekkomyślnego postępowania, ale ocenił je należycie ten sam złowieszczy szept, który zgasił mnie, jak ja niedawno tego nieszczęśliwego papierosa...

— Niech pan nie mlaska...

W tej samej chwili wyplułem biedny, dobry cukierek. I teraz już nawet bez słowa protestu, czy zdziwienia. Widocznie tak trzeba.

Ale mój znajomy był jeszcze daleki od zadowolenia z mojej osoby. Po chwili bowiem wielka, kołysząca się przede mną bryła, która była moim towarzyszem, zasyczała znowu groźnie.

— Niech pan tak nie sapie...

— Na miłość Boską — wyszeptałem. — Przecież ja nie mogę nie oddychać. Ja spróbuję, ale to się może nie udać. Może mnie jednak te dziki nie usłyszą...

Groźny towarzysz zbył znowu moje słowa wyniosłym milczeniem. W tej chwili był on tylko uszami i oczyma lasu. Szedłem naprzód z głuchą i milczącą determinacją.

Ponura historia. Nie wolno zaśpiewać, nie wolno palić, nie wolno zagwizdać, nie wolno jeść cukierków, tej osłody życia; oddychać także nie wolno. Nic nie wolno. Wolno tylko widzieć ślady, których nie widać i w ogóle wolno polować. I to ma być życie. To jest, przepraszam bardzo, katorga, to jest ograniczenie wolności osobistej, ale to nie jest życie. To jest polowanie.

Dobrze. Brnąłem milcząc i sapiąc, a raczej wstrzymując to sapanie. Zapadałem głęboko w śnieg, potykałem się, przeklinałem w duchu, dźwigałem dubeltówkę na ramieniu, cierpiałem, szedłem jak Napoleon spod Moskwy i nudziłem się, nudziłem się potężnie.

Dobrnęliśmy wreszcie do jakiejś strażniczówki leśnej, koło której mieliśmy właśnie przebyć jeszcze ową „zasiadkę". Tam nareszcie wolno mi było zapalić papierosa, wypić gorącej herbaty, nażreć się cukierków, nakląć się i nasapać dowoli. Robiłem to wszystko na zapas. Mój znajomy odzyskał nawet humor i rozpogodził się wewnętrznie i zewnętrznie. Życie znowu zaczęło być możliwe.

Poza tą strażniczówką było jakieś kartoflisko, na które w nocy przychodziły rzekomo owe mityczne dziki. Niedługo siedzieliśmy tam, pod lasem, na jakiejś upiornej ławeczce, w mroku i znowu pogrążeni w doskonałym milczeniu. Zapadłem w siebie i milczałem jak grób. Ale nawet grób, jeżeli ma tylko pewne zdolności towarzyskie, musi sobie czasem coś powiedzieć. A ja nie byłem jeszcze grobem. Przez rękawicę czułem tylko i to czułem coraz dokładniej, zimno lufy dubeltówki. W takiej ciszy mimowolnie chce się człowiekowi wydobyć z siebie jakąś melodię w rodzaju ti-di-ri-dl-ra, ale bałem się ryzykować. Noc trwała. Ja też. Na posterunku. Jak członek partii z 63-go roku. Przeklinałem swoje pomysły. Ani jeden dzik nie ukazywał się na horyzoncie, ani jeden nie odezwał się po ludzku. Można było tylko siedzieć, nic więcej — tylko siedzieć. W milczeniu. Jedną godzinę, drugą, może trzecią. Świt w zimie i ranek zaczyna się późno. Wiadomo.



fot. dr J. J. Karpiński

W niedługim czasie doszedłem do przekonania, że dzików w ogóle nie ma na świecie. Wyginęły już dawno. Myśliwi bawią się tylko w polowanie. Sami wychodzą w nocy i robią „ślady", że niby dziki przechodziły. Sami ryją na kartofliskach i chrząkają, żeby straszyć ludzi. A potem przebierają się sami w skóry wymordowanych już dawno przez ich przodków dzików i łażą na czterech łapach, a kiedy jakiegoś ze strzelbą poniesie, tak, że się do nich złoży, krzyczą wtedy ludzkim głosem:

— Nie strzelaj, głupi! To przecież ja jestem, Felek Nowak, z klubu łowieckiego „Trąbka" z Tarnopola.

Czasem taki wystrzeli jednak, nie uwierzy i to są właśnie owe „ofiary przypadku", owe „wypadki" na polowaniach. Znamy się na tych kawałach. Na tych nabieraniach „na wujaszka", albo „na dzika". Dziki to legenda. Nie ma już dzików. Resztki ich żyją w Zoo. Trzeba skończyć z tym mitem. Jest tylko ławeczka pod lasem,

zimno, noc, milczenie i nuda, nuda, nuda.

Postanowiłem trochę tę nudę przerwać. Dosyć. Potrafię i ja zabawić się w dzika. I po jakimś czasie zacząłem się zachowywać niespokojnie, zastanawiająco, tropiąco, podejrzliwie. Wstawałem zlekka, przysłaniałem ręką oczy, wpatrywałem się w „głuszę leśną“, zerkając równocześnie na milczącą postać obok mnie. Ale postać zachowywała majestatyczne, pogardliwe milczenie. Nie zwracała na mnie uwagi. Co jest, do cholery. Śpi, czy co... Nie wytrzymałem wreszcie...

— Panie Antoni!...

— Co?

— Tam się coś rusza...

— Gdzie?

— Tam, pod lasem! — pokazałem ręką coś, czego nie widziałem.

Wstał dla przyzwoitości, wpił widzące i wiedzące oczy w mrok, a potem powiedział pewnym głosem:

— Nie, to krzaki.

I znowu zamarł w milczeniu.

Ale ze mną nie tak łatwo. Po chwili odezwałem się znowu:

— Panie Antoni...

— Co?

— Tam słychać jakieś stąpania...

— Gdzie?

— Tam, pod lasem...

Scena powtórzyła się znowu. Wstał, nastawił uszu, a potem znowu opadł ciężko na upiorną ławeczkę udręczeń.

— Nie — zaszemrał — to wiatr.

Naturalnie, że wiatr, ja sam wiedziałem, że to wiatr, ale nudno przecież tak. Nie można. Trzeba coś robić. Skoro nie ma dzików, skoro już dawno wybito wszystkie, zjedzono, zrobiono z nich walizki, nesesery, kły nad łóżkiem, szczotki do zębów i jeszcze coś. Czy ja wiem co jeszcze można zrobić z dzika? Pewnie dużo. Dzik to duże zwierzę.

Poruszyłem już zmysł słuchu i wzroku, po którym można poznać zwierzęta. Zmysł smaku odpadał. Jeżeli idzie o zwierzęta, nadaje się on tylko po ich zabiciu i po daniu na półmisku. Uwielbiam zresztą nie dziki, tylko jarząbki. Bo kaczki zabite śmierdzą. Przynajmniej każą je jeść, kiedy je już trochę czuć. Także słonki i kuropatwy. Obrzydliwość. Zaraz. Śmierdzą... Jest wyjście...

— Panie Antoni...

— Co?

— Czy dziki śmierdzą?

Długie milczenie... Wreszcie nastąpiła pewna odpowiedź:

— Naturalnie. Jak chcą to śmierdzą.

— A to dopiero bydlęta — powiedziałem.

Ale na to już nie było odpowiedzi.

W ten sposób przetrwaliśmy ową koszmarną noc łowów, których nie było. Mój towarzysz był uparty. Doczekał do samego świtu, do białego rana. Nie dał się wziąć ani na stąpania, ani na szelesty, ani na podejrzane kontury. Wysiedział swoje, aż zrobiło się biało. Teraz dopiero się ożywił. Bezustannie pokazywał mi poryty rzekomo przez dziki grunt leśny i klarował mi, że tędy „przechodziły warchlaki“, a „tędy stary odyniec“. Ale ja nie wierzyłem. Czułem się tak, jak wtedy, kiedy się dowiedziałem już na pewno, że bociany nie noszą dzieci. Teraz ja zachowywałem się sceptycznie i niedowierzająco. Ehe, nie ma dzików. Nie ma ani bocianów, ani dzików. Jest życie, psiakrew, nagie życie. I są myśliwi, zasiadki i polowania. I ślady są.

W domu napiłem się kawy, bardzo gorącej kawy i kropnąłem się spać. Spałem oczywiście jak zabity, ale po jakich niespełna dwu godzinach snu, poczułem, że ktoś szarpie mnie za rękaw. Przede mną stał mój znajomy, znowu w pełnym rynsztunku myśliwskim i wołał grzmiącym głosem:

— Niech pan wstaje. Jedziemy na dziki! Nagonka czeka.

Ale ja powiedziałem już sobie twardo: tym razem się ze mną nie uda.

— To dobrze — powiedziałem — powodzenia w łowach! — Pamiętałem, że tak krzyczał mały Mowgli w pięknej „Księdze dżungli“ Kiplinga.

I nie dałem się namówić. Spałem spokojnie, a mój znajomy i jeszcze kilku panów, którzy przybyli na tę wielką mistyfikację myśliwską z pobliskiego Kosowa, wyjechało saniami. Zbudziłem się dopiero po ich powrocie.

Naturalnie, zabili dzika. Niedużego i tylko jednego, ale zabili. Leżała sobie taka biedna świnia, przebrana w dziczą skórę na śniegu i już nie żyła.

— Było trzy sztuki — posłyszałem. — A właśnie na tym miejscu, gdzie pana chciałem postawić, przeszedł odyniec. Jak cielę. No, i jak pan teraz wygląda?

— Źle wyglądam — odpowiedziałem. — Ale dlatego, że mało spałem. — I skończyłem na tym.

Dlaczego ci ludzie kłamią? Przecież ja wiem, że dzików już nie ma. Ta przebrana, czy też tylko posmarowana brunatną farbą niewielka świnia domowa, leżąca przed domem, może służyć do zabawy w myśliwych. Ale ja już wiedziałem swoje. Ubrałem się do obiadu i wysłuchałem jeszcze wiele pięknych historyj z życia zwierząt i ptaków rzekomo leśnych, które zakończyły swój żywot, kiedy zetknęły się właśnie z moimi współbiesiadnikami. A oni okłamywali się jak dzieci.

Żeby nie stracić szacunku swojego towarzysza, którego bardzo poza tym lubię i szanuję, wystrzeliłem po południu do jakiegoś ptaka przebranego za srokę, strąciłem go z gałęzi i nie sprawdzając identyczności, żeby nie stracić szacunku swojego towarzysza, byłem na razie gotowy z polowaniem. Mogliśmy już wyjechać.

Tak skończyło się moje nocne polowanie na dziki. A wam wszystkim mogę dać tylko jedną dobrą radę:

— Nie chodźcie na polowania, bo stracicie najpiękniejsze złudzenia, jak ja je straciłem. Żyje sobie człowiek w mieście i wyobraża sobie las i zwierzynę w nim, wierzy, że Polska to kraj polowań. A potem pojedzie do tego lasu i zobaczy mitologię. Lepiej wierzyć w te rzeczy niewinnie i nie sprawdzać na własne oczy.

Dziki są właśnie mitologią. I jeżeli kiedykolwiek w życiu spotkacie żywego dzika w lesie, zejdźcie mu z drogi. Zróbcie nawet przyjemność temu, który się kryje pod skórą tego zwierzęcia i uciekajcie szybko. Nie pokazujcie, żeście poznali, iż to przebrany myśliwy wyżywa swoje dzieciństwo. Nie mówcie mu też dzień dobry. Wierzcie nawet, że to prawdziwy dzik.

Ja już nie mogę. Sceptyk jestem. Przekonałem się. Zwierzęta wyginęły już dawno. Zostali tylko biedni, osamotnieni myśliwi.



D Z I K.

Chyba nie mamy w Polsce drugiego takiego gatunku zwierzyny łownej, o którym istniałoby tyle odmiennych i krańcowych zdań, ile się słyszy o dziku. Jedni twierdzą, że zwierzyna ta nie powinna być tolerowana zupełnie w łowisku, jako wyrządzająca znaczne szkody w plonach rolnych, drudzy przeciwstawiają się zdecydowanie temu poglądowi, wysuwając na pierwszy plan wielką, niezaprzeczalną pożyteczność dzika, jako tępiciela larw i poczwarek szkodliwych owadów leśnych (np. poczwarki paprocha i sówki) i nazywają go „żywym pługiem leśnym“, albowiem „buchtując“, czyli przekopując swoim ryjem, nazywanym przez myśliwych „gwizdem“, pokłady ściółki i próchnicy, dzik ułatwia zakorzenianie się samosiewek i powoduje przeto szybszy ich wzrost. Nie można pominąć także znaczenia dzika jako „funkcjonariusza zakładów oczyszczania lasu“, albowiem wszystkożerne to zwierzę uprząta padlinę i resztki niedojedzonej przez drapieżniki zdobyczy. Naturalnie, że przy tej sposobności wyrządza dzik także szkody, pożerając jaja gnieżdżącego się na ziemi ptactwa łownego, małe zajączki, a także wybierając zasianą lub przechowywaną żołędź. Jako zwierzyna łowna dzik jest powszechnie ceniony przez myśliwych, ponieważ marzeniem każdego jest zdobycie sztuki o rekordowych szablach i fenomenalnej wadze (waga nie zawsze odpowiada wielkości szabel, spotyka się bowiem olbrzymie odyńce o słabych szablach i odwrotnie — średniej wielkości sztuki mają nieraz wyjątkowo długi i kształtny oręż).

Nic więc dziwnego, że właściciele wielkich łowisk, obfitujących w czarną zwierzynę, nieraz godzą się na płacenie wygórowanych i często niestety mało uzasadnionych odszkodowań, pragnąc zachować w swej kniei dobry stan dzików. Zdrowy rozsądek i troska o dobro zwierzyny, oparta nie tylko na szlachetnej idei ochrony przyrody, lecz także na kalkulacji gospodarczej, nakazuje nam trzymać się „złotego środka“. Musimy zaniechać popadania we wszelkiego rodzaju krańcowości. Nie należy zatem wybijać dzików do nogi, pozbawiając łowisko najcenniejszego z łowieckiego punktu widzenia, składnika. Nie można także pozostawiać nadmiernego ich stanu, narażając na rujnujące gospodarkę wypłacanie odszkodowań za szkody wyrządzane na polach okolicznych wsi, które poza stratami materialnymi przynoszą również

straty natury moralnej, ponieważ ludność usposabia się wrogo do posiadaczy lasów z ostoją dzików i w ogóle do łowiectwa, uważanego przez nią, za pożyteczną gałąź gospodarczą, lecz poprostu za „zabawę możnych".

Jak z powyższego wynika, trzeba dążyć do utrzymywania stanu dzików w łowisku w takiej ilości, jaka może się wyżywić w lesie, a przy której wypady dziczych stad na pola uprawne — o ile nie ustaną zupełnie, — to przynajmniej ograniczą się do minimum.
Poza odstrzałem redukcyjnym, skutecznym zabiegiem, hamującym ekspansję dzików poza obrębem właściwego im siedliska leśnego, jest zakładanie wewnątrz kompleksu pólek pastewnych, obsadzanych ziemniakami i bulwą, które to okopowe stanowią ulubiony przysmak czarnego zwierza. Poza tym szkody w plonach rolnych skutecznie można zmniejszyć, grodząc pola od strony lasu i wyznaczając nocnych dozorców, którzy odstraszają zwierzynę. Najważniejszym jednak środkiem, zapewniającym wyraźne zmniejszenie niepomiernie wysokich, ciążących na lasach państwowych i prywatnych odszkodowań łowieckich, byłoby właściwe i na określonych zasadach oparte szacowanie szkód. Dzisiaj takich powszechnie obowiązujących przepisów i norm jeszcze nie posiadamy. Przedsięwzięto dopiero pewne kroki w tym kierunku. W Niemczech Th. Herr ułożył osobne tablice dla powierzchni świeżo zasianych zbożem, trawami lub zasadzonych okopowizną, a osobne dla tych samych roślin uprawnych w stanie dojrzewania. Na podstawie ilości wysianego nasienia lub posadzonych ziemniaków albo przeciętnego spodziewanego plonu określa się istotną szkodę, przypadającą na każdy metr kwadratowy zniszczonej przez zwierzynę powierzchni. Szkody są ściśle wyliczone w tablicach. Poszkodowany podaje ilość wysianego nasienia lub użytych sadzeniaków względnie rozmiary spodziewanego plonu. W jego obecności mierzy się uszkodzoną powierzchnię i odczytuje się w tablicach rozmiar szkody w funtach lub kilogramach. Znając aktualne ceny rynkowe możemy ściśle określić wysokość odszkodowania. Przy szacowaniu szkód w zasiewach dodaje się koszt robocizny. Przy stosowaniu tych lub podobnych, odpowiadających naszym warunkom tablic — różnych dla rozmaitych pod względem wydajności gleb, często można będzie uniknąć załatwienia sporów drogą sądową. Tymczasem, dopóki takich tablic nie posiadamy, musimy kierować się następującą zasadą, a mianowicie ustalać wartość pieniężną poniesionych szkód nie natychmiast po ich zauważeniu, lecz dopiero wówczas, gdy plon dojrzeje. Porównywać trzeba zmniejszony przez szkody plon nie z jakimś nieistniejącym i zwykle przewyższającym przeciętny, urodzajem, lecz z wydajnością nieuszkodzonej części pola lub z polem sąsiednim, tak samo uprawianym. Przy uszkodzeniu zasiewu trzeba podawać, jako szkodę, wartość zniszczonego materiału siewnego i robocizny w takiej części całkowitych kosztów, jaką część stanowi powierzchnia uszkodzona. Uwagi powyższe dotyczą właściwie nie tylko dzika, lecz także jelenia i innej zwierzyny, nawiedzającej pola uprawne.

Po tym dosyć długim, lecz ze względu na ścisły związek hodowli dzika z gospodarką rolną i leśną, bardzo ważnym wstępie, podamy teraz wszelkie podstawowe wiadomości, dotyczące biologii czarnej zwierzyny i jej liczebności w Polsce.

Dzik (Sus scrofa) jest zwierzęciem bardzo okazałym i odznaczającym się masywną budową ciała. Zwłaszcza stare odyńce mają potężnie rozwiniętą przednią część ciała. Długość ciała kapitalnych odyńców nie raz przekracza 2 m, a wysokość w barku (kłębie) dochodzi do 1m. Waga odyńców dochodzi do 200 kg, a spotykano sztuki jeszcze cięższe. Krótkie silne kończyny — biegi — są zakończone rapciami (racice) i szpilami (racice tylne). Popularne to zwierzę posiada liczne swoiste nazwy, określające poszczególne części ciała i są osobniki w różnym wieku. Prosięta nazywamy warchlakami, młode samce do 3 lat — wycinkami, stare — odyńcami, samice zaś lochami, maciorami lub samurami. Ryj dzika, jak już wspomnieliśmy, nosi nazwę gwizda, a zakończony jest tabakierą. Oczy nazywamy świecami, uszy słuchami. Skórą nosi nazwę sukni, a okrywającą dzika szczecinę nazywamy piórem, zaś szczecinę na grzbiecie — chybem. Oprócz twardej szczeciny dzik posiada gęsty miękki puch. Odyniec posiada w dolnej szczęce szable, w górnej fajki, o które kłapiąc zaostrza szable. Locha posiada znacznie słabsze kły.

Dziki wybierają na ostoję większe kompleksy leśne, obfitujące w gęste zarola i mokradła. W niektórych krajach trzymają się one w zarolach trzcin i szuwarach nadrzecznych (np. w Turkiestanie, w północnej Afryce). Dziki, jako zwierzęta wszystkożerne prawie zawsze, za wyjątkiem surowych zim z obfitym opadem śnieżnym, znajdują poddostatkiem pożywienia, zjadając wszelkie kłącza, korzonki, płody rolne, owoce, larwy, ślimaki, myszy, gady, żaby, jaja ptasie, padlinę itp. urozmaicony pokarm. Trzymają się one stadami - watahami, których przewodniczką bywa stara doświadczona locha. Tylko grube kapitalne odyńce wolą pędzić samotne życie, przyłączając się do stad w okresie huczki lub lochania, kiedy młodsze samce pokornie ustępują im z drogi, a silniejsze staczają zaciekłe walki o miłość nadobnych macior. Lochanie rozpoczyna się w listopadzie i trwa do stycznia. Nie zawsze jednak odbywa się ono regularnie. Świadczy o tym pojawienie się w późnym czasie małych, w prążkowane koszulki wystrojonych, warchlaków. Prosienie się loch następuje zwykle w ca 20 tygodni po zapłodnieniu. Ilość warchlaków waha się od 6—12 (nieraz spotyka się jeszcze więcej). Samura prosi się w zawczasu przygotowanym legowisku, starannie wysłanym mchem i trawą, i dobrze ukrytym w zaroślach. Dziki bardzo łatwo krzyżują się ze świniami swojskimi, puszczonymi samopas do lasu. Mieszańce, z kształtu podobne do dzika, dziedziczą zwykle jasny kolor świń domowych. W Białowieży dawniej sporo było takich sztuk, lecz dziś trafiają się one dość rzadko. Dzięki swej płodności czarna zwierzyna, posiadająca w człowieku głównego wroga utrzymywała się do dziś dnia w pokaźnych ilościach. Zdolność do rozpłodu dziki uzyskują jeszcze przed całkowitym wyrośnięciem, w wieku około 2 lat. Oprócz płodności ratują dzika od zagłady jego doskonały węch, słuch, a także mądrość i ostrożność. Szczególnie stare doświadczone sztuki, które zapoznały się z działaniem broni i przebiegłością człowieka, z powodzeniem unikają niebezpieczeństwa i żyją długie lata ku chwale i potędze dziczego rodu.

Dziki prowadzą nocny tryb życia i dopiero o zmroku wychodzą na żer. W dzień kryją się one w niedostępnych haszczach i mokradłach leśnych, chłodząc się w kąpieliskach. Czarny zwierz, ocierając się o pnie drzew iglastych, okrywa się twardym pancerzem błotno-żywicznym, który stanowi dobre zabezpieczenie przed kulami. Obfita warstwa tkanki łącznej w okolicy karku i barków również stanowi rodzaj pancerza. Obfitość pokarmu w lecie i jesienią pozwala dzikom nagromadzić zapasy tłuszczu przed zimą, kiedy sadliste sztuki, cierpiące nieraz głód i wycieńczone lochaniem znacznie tracą na wadze. Spośród wrogów naturalnych należy wymienić wilki, napadające na pojedyńcze sztuki (zwykle ranne lub wycieńczone) lub porywające słabsze wycinki i warchlaki. Ryś także atakuje niewyrośnięte osobniki, a niedźwiedź również od czasu do czasu urozmaica swój jadłospis delikatnym warchlaczkiem.

Więcej się dają we znaki dzikom epizoocje, jak np. dziesiątkujący ich pogłowie — pomór, lub pasożyty wewnętrzne—włośnica (trichinoza) pospolita u świń domowych — u dzików spotyka się dość rzadko. Natomiast dość często daje się zauważyć w porze zimowej stan zapalny kończyn, zwłaszcza przednich, powodowany przez kaleczenie się o lodową krustę na śniegu. Skutkiem tego zapalenia bywa ogólne wycieńczenie, a nawet śmierć słabszych osobników.

Stan dzików w w l. p. przedstawia się dziś następująco: w regionie zachodnim na Pomorzu, w Poznańskim i w zachodniej części dawnej DLP w Warszawie mamy przeszło 2100 szt., w regionie centralnym ca 1200 szt., w regionie wschodnim na Podlasiu, Polesiu, Wołyniu, Wileńszczyźnie i w regionie Puszczy Augustowskiej mamy przeszło 4500 szt. i wreszcie w regionie południowym górskim, stan dzików dochodzi do 900 szt., czyli ogółem w L. P. mamy ca 8700 szt. Jeżeli więc przyjmiemy ilość dzików w większych łowiskach prywatnych za równą w przybliżeniu podanej, to stan dzików w całej Polsce można oszacować na przeszło 17000 szt.

Polowanie na dziki jest jedną z największych rozkoszy prawdziwego myśliwego. Polujemy na nie zimową porą — najlepiej po białej stopie z naganką, po uprzednim osaczeniu (otropieniu). Najlepiej stosować ciche pędzenie i wyciskać zwierzynę powoli, gdyż przy nagance zbyt hałasującej dziki często uderzają na naganką i uchodzą, przebijając się przez nią. Dlatego też wskazane jest stawianie myśliwych na flankach. Przed stanowiskami wycina się trzykierunkowe przecinki (wizurki) dla umożliwienia dokładnej obserwacji. Dzik jest bardzo twardą na strzał zwierzyną i zawsze trzeba strzelać na komorę, gdyż postrzałki nie zrutowane w ogniu uchodzą daleko i bez dobrych psów posokowców trudno je odnaleźć, szczególnie przy czarnej stopie.

Bardzo emocjonującym jest polowanie z psami-dzikarzami, które idąc za odwiatrem zwierza, oznajmiają go i potem, gdy dochodzą, oszczekują i osadzają. Dobrymi dzikarzami są cięte kundle wiejskie i foksy. Na dziki poluje się także na nocnych czatach przy żerowiskach, np. przy polach ziemniaczanych.

Inż. W. Lindemann.

DO DYSKUSJI

Plantacja wikliny

Jednym z ważniejszych problemów, interesujących nas, leśników, poza właściwą produkcją drewna, jest plantacja wikliny. Ta gałęź produkcji znajduje, a raczej powinna znaleść szerokie zastosowanie tam, gdzie liczne nieużytki, jak kwaśne, nieurodzajne łąki, tereny podmokłe, a nawet zabagnione, wchodzą w skład powierzchni lasów.

Dla plantacji wikliny nadają się zasadniczo wszelkie grunta, za wyjątkiem zwiewnych, zupełnie suchych piasków, oraz terenów czysto torfowych, bez przymieszki gleby mineralnej. Naturalnie od jakości gleby, jej stanu wilgotności itp. zależny jest wybór rodzaju wikliny, jaki na danej powierzchni plantować zamierzamy. Gleby o większym zapasie wilgoci nadają się pod uprawę wierzby o wąskim ulistnieniu i przeciwnie, gleby suche wymagają gatunków szerokolistnych, utrzymujących przez ściślejsze zacienienie większy stopień wilgoci gleby.

Jak wspomniałem wyżej, czyste torfowiska nie nadają się pod uprawę wikliny, jednakże wystarczy naniesienie warstwy gleby mineralnej o grubości 15-tu do 30-tu cm, by osiągnąć zupełnie zadawalające wyniki.

Tereny zabagnione można z pełnym powodzeniem uprzystępnić dla plantacji wikliny przez system groblowy, o szerokości grobli co najmniej 1,5 m i tej samej szerokości rowów, zależnie od stopnia zabagnienia. Im niżej znajduje się poziom wód gruntowych, tym szersze mogą być groble i odwrotnie. Zasadniczo powierzchnia grobli winna się znajdować co najmniej na wysokości 1 m ponad lustrem wody w rowach.

W ten sposób nawet czyste, niezbyt głębokie torfy można uprzystępnić dla plantacji wikliny, kładąc wydobyty z rowów piasek na pokład wydobytego torfu. Wyłożone na powyższy zabieg koszty opłacą się sowicie.

Gleby, na których w okresie wegetacji woda gruntowa nie obniża się co najmniej na 50 cm poniżej powierzchni ziemi, wymagają odwodnienia, natomiast nawet znaczne podniesienie się wody gruntowej poza okresem wegetacji, choćby na przeciąg kilku miesięcy, nie odgrywa żadnej roli.

Gleba przeznaczona pod plantację wikliny wymaga w jesieni, poprzedzającej sadzenie, starannej regulówki na 50—60 cm, zależnie od głębokości warstwy urodzajnej. Im ta ostatnia jest głębsza, tym głębsza może być regulówka. Przy cieńkiej warstwie urodzajnej, zbyt głęboka regulówka może spowodować wydobycie na wierzch grubej warstwy ziemi martwej, co w konsekwencji będzie miało ten skutek, że wsadzone sztobry pozostaną w całości w ziemi nieurodzajnej, i siłą rzeczy zabraknie im potrzebnych do życia składników mineralnych.

Zregulowaną na jesieni glebę wyrównuje się za pomocą grabi, unikając przy tym silnego udeptywania ziemi, co mogłoby spowodować utworzenie się szkodliwej skorupy.

Do sadzenia przystępujemy wczesną wiosną, gdy przygotowana na jesieni gleba należycie obe-

schnie i gdy nie spodziewamy się już większych przymrozków, jednakże nie później, jak przed końcem kwietnia. Sadzenia jesiennego należy stanowczo unikać, ponieważ wsadzone na jesieni sztobry zostają pod wpływem mrozu wysadzone z ziemi. Im wilgotniejsza jest gleba, tym prawdopodobieństwo wysadzania jest większe.

Więźbę stosujemy przy plantacji wikliny koszykarskiej 10 × 50 cm, przy plantacji wikliny obręczowej 30 × 50 cm. Przy sadzeniu sztobrów należy zachować jak największą regularność więźby, i do tego celu używamy długich sznurów, oznaczonych kolorowymi płatkami w wymaganej odległości sztobrów w rzędach. Odstęp rzędów regulujemy za pomocą odpowiednio przyciętych prętów. Po wyciągnięciu liny robotnice wpychają ręką sztobry prostopadle w ziemię w miejscach płatkami oznaczonych, bacząc pilnie na to, by oczka sztobrów zwrócone były ku górze. Szczegół ten jest niezmiernie ważny, bo, jakkolwiek wierzba wykazuje nadzwyczajną żywotność, i nawet w tym położeniu puści pędy, to jednakże pędy te będą daleko słabsze, niż pędy sztobrów wsadzonych prawidłowo. Aby uniknąć tego rodzaju pomyłek przy sadzeniu, należy sztobry przygotowane do sadzenia wiązać w pęczki po sto sztuk oczkami do góry, i z tych pęczków wyciągają robotnice pojedyńcze sztobry i wpychają je do ziemi. Sztobry należy w całości wpychać do ziemi tak, by ich górny koniec znajdował się w równej wysokości z powierzchnią ziemi.

Zasadnicza długość sztobra powinna wynosić 30 cm.

Do wycinania sztobrów przystępujemy przed nastaniem okresu wegetacji, najlepiej krótko przed sadzeniem. W razie konieczności wcześniejszego wycięcia sztobrów należy je przechować w pęczkach po sto sztuk w piwnicy, i co 4 do 5 dni polewać obficie wodą. Można również przechować sztobry w wodzie w ten sposób, by były całkowicie w wodzie zanurzone.

Pielęgnacja plantacji wiklinowych nie wymaga zbyt wielkich kosztów. W pierwszym roku po założeniu należy plantację starannie zmotykować międzyrzędowo i to możliwie dwa razy w ciągu okresu wegetacji, celem nie dopuszczenia do zachwaszczenia. W latach następnych należy rok rocznie, przejść z motyką, usuwając pojawiające się tu i owdzie chwasty i trawy, które są największymi wrogami plantacji wiklinowych. Od jakości plantacji uzależniamy więźbę. Podczas, gdy przy plantacji wikliny koszykarskiej stosujemy bardzo gęstą więźbę, mianowicie 10 × 50 cm, by osiągnąć możliwie cieńkie i wybujałe witki, to przy plantacji wikliny obręczowej rozszerzamy więźbę do 20×50 cm.

Wybór gatunku wikliny zależny jest w pierwszym rzędzie od rodzaju plantacji. Tak, jak nie wszystkie szlachetne gatunki wierzb nadają się do produkcji witki koszykarskiej, dając jedynie dobrą witkę obręczową, tak z drugiej strony inne gatunki nadają się wyłącznie na witkę koszykarską, zaś do produkcji obręczy zupełnie się nie nadają. Do pierwszych zaliczyć należy odmiany S. caprea, jak dasyclados, lanceolata i viminalis, udające się na glebach żyznych, o głębokiej próchnicy i średnio wilgotnych. Do grupy drugiej jako najważniejszą należy zaliczyć wierzbę amerykankę (S. americana Hrt.). Wierzba ta, dająca wybitnie długie i cieńkie witki, udaje się na łąkach torfiastych, gdzie warstwa torfu jest dostatecznie rozłożona, lub gdzie nie sięga głębiej niż do 40 cm, co pozwala przy regulówce na wydobycie na wierzch 15 do 20 centymetrowej warstwy gleby mineralnej. Również udaje się amerykanka bardzo dobrze na wilgotnych gruntach próchnicznych, zawodzi zaś zupełnie na gruntach suchych.

Jako wierzby, nadające się zarówno do produkcji witki koszykarskiej, jak i obręczowej, wymienię następujące najważniejsze gatunki:

Konopianka królewska (S. viminalis regalis). Odmiana ta po amerykance daje najdelikatniejsze i długie witki, hodowana zaś w więźbie luźnej, przy swym nadzwyczajnie bujnym wzroście i braku skłonności do rozgałęziania się, daje wyborowe obręcze. Wymagania konopianki królewskiej są dość skromne i nie jednostronne. Robione przeze mnie próby na osuszonych łąkach torfiastych i na glebie piaszczystej VI bonitacji dały wyniki dobre, jedynie w pierwszym wypadku wykazywała konopianka królewska nikły wzrost w zagłębieniach terenu, co wskazuje na to, że silnie reaguje na zbyt wysoki poziom wód gruntowych, natomiast na glebie piaszczystej dała już w pierwszym roku pędy do 2,5 m długości, co przy amerykance osiągnąłem dopiero w trzecim roku plantacji. Jak nadmieniłem wyżej, konopianka królewska udaje się nawet na siedliskach ubogich, co nie przeszkadza, że reaguje ona poza tym znakomicie na jakość siedliska, dając na gruntach bogatych wprost fenomenalne wyniki, sięgające do 240 kwintali z ha przy długości witek do 3,5 m. Zbiór 160 kwintali z ha należy uważać za normalny.

Jan Koraszewski



Plantacja wikliny.

LEOPOLD STAFF

PRZEDWIOŚNIE

Dreszcz wiosny. Wierzba puszcza już kosmate bazie,
Woń ostra i upojna tchnie z brunatnej skiby,
Pachnąc niby pot pracy i wilgotne grzyby.
Ciepłe, deszczowe niebo śpi na krajobrazie.

Czarna ziemia oddycha głęboko, jak gdyby
Wyzwolona, po długim, surowym zakazie.
Miękka i czuła tkliwość, podobnie zarazie,
Wnika z powietrza w ludzkie serca i sadyby.

O dobre, pobłażliwe, zacne oczy wołu!
Serce chore słodyczą ziemskiego żywiołu
Taje wzruszeniem, które oddech w piersi niemi.

I nigdy mi nie było tak mało potrzeba
Do szczęścia, jak, gdy czując na czole łzy nieba,
Położyłem na sercu swem garść chłodnej ziemi.

ARKADY FIEDLER

POLUJEMY NA BINUJI

— Jest mgła na rzece! — tymi słowy budzi mnie mój peon, preparator, myśliwy, a zarazem moja prawa ręka do wszystkiego, Estanislao Chujutalli (czytaj Czuchutadżi), pół-indianin keczua z nad górnego Maranjonu.

— Czy przyszedł Valentin? — pytam, ubierając się.

— Niema jeszcze tego czola! — odpowiada Estanislao pogardliwie, chociaż sam jest czolem, czyli mieszańcem.

Pogarda Estanislao'a dla Valentina stanowi moje ostatnie zwycięstwo dyplomatyczne. — Gdy kilka dni temu zaangażowałem Valentina jako drugiego pomocnika i zacząłem go traktować przyjaźnie na równi z Estanislao'em, stwierdziłem zdumiewający wynik: obydwaj metysi, jeden keczua drugi ze szczepu kampa, pokumali się ze sobą, stworzyli przeciw mnie wspólny front i byli stale ze mnie niezadowoleni. Dopiero gdy za poradą ludzi obytych postawiłem Estanislao'a służbowo nad Valentinem, sytuacja natychmiast się wyjaśniła: wsadzony między nich klin zerwał front, pobudził ich wzajemną rywalizację i odtąd praca idzie jak z płatka w utworzonej hierarchii.

Rzeka w nocy znów przybrała (kiedyż Ukajali przestanie wreszcie rosnąć, to już potop!) i zatopiła kanoe. W toku wyciągania czółna z mułu zaczyna widnieć,— jest w pół do szóstej rano. Zjawia się zaspany Valentin. Ruszamy, ja, siedząc w środku kanoe ze strzelbą, oni z przodu i z tyłu wiosłując.

Mgła zakrywa nie tylko brzeg przeciwległy, oddalony o blisko kilometr, ale i drzewa z tej strony rzeki. Najbliżej wyłania się z oparów palma aguache, piękna puszysta palma, niby wspaniała strażniczka raju egzotycznego. Drzewo to, podobno najpiękniejsze w całym Peru, ma w sobie urok inkaskiej księżniczki, zamienionej w palmę. Lecz, niestety, daleko jesteśmy od mitologii greckiej: nad Ukajali brak kochliwego Apollina. Kochliwy jest tylko Valentin, półczerwony dżentelmen, rodem z Kumarii, a nie z Olympu.

Za tą palmą, w gęstych krzewach, budzą się pierwsze ptaki. Słychać narazie dyskretne pogwizdy wróblowatych i nieliczne krzyki papug. Za to w ujściu rzeki Binuji do Ukajali rozlega się co chwila donośne sapanie: to dwa delfiny rzeczne, zwane bufeo, żerują wesoło w wodzie i co kilkanaście sekund wypływają na powierzchnię wody, by zaczerpnąć powietrza. Wtedy, wynurzając do połowy swe lśniące, wielkie cielska, wydają ze siebie głębokie westchnienie.

Wielka ilość delfinów w wodach Amazonki i jej dopływów jest za-

dziwiająca, nazwałbym owe piękne zwierzęta najcharakterystyczszymi mieszkańcami tych rzek. Ich obfitość tłumaczy się może tym, że doznają ze strony człowieka zupełnej ochrony: zabicie bufea przynosi podobno nieszczęście, a spożywanie jego mięsa grozi trądem.

Gdy przepływamy obok delfinów zaledwie o kilkanaście kroków, prosi mnie nagle Valentin:

— Zabij pan tego najbliższego.

Odwracam się do niego zdziwiony; on chyba żartuje. Ale widać z twarzy, że nie żartuje. Pytająco spoglądam na Estanislao'a.

— Valentin ma narzeczoną, która go zdradza! — tłumaczy tenże rzeczowym głosem, lecz całkiem dla mnie niezrozumiale.

Valentin chce przeczyć, lecz w tej chwili uwagę naszą pochłaniają dwie czaple, siedzące niedaleko na drzewie. Są to królewskie czaple, zupełnie białe o żółtych dziobach i czarnych nogach. Lepsza to dla mnie zdobycz niż bufeo, który, zraniony, zawsze nurkuje i uchodzi w głębinach.

Lecz czaple, płoche ptaki, mają się na baczności. Zrywają się z daleka i odlatują w głąb Binuji. Zataczają nad lasem wielkie koła, potem zdecydowane wracają w stronę Ukajali. Majestatycznym kołem zamierzają przelecieć tuż nad nami. Nieopatrzne! Huk strzału, wstrząsający puszczą i jedna z czapel wali się jak kula do wody.

— Dobry strzał! — słyszę z przodu i z tyłu pochwałę mych peonów.

(O bufeach i narzeczonej Valentina zapomnieliśmy na śmierć. Dopiero w kilka dni później dowiedzieliśmy się bliższych szczegółów tej tajemniczej sprawy. Oto mieszkańcy ukajalscy wierzą niezłomnie, że bufeo jest niezawodnym środkiem miłosnym. Wyciąć z samiczki skórkę części rodnych, nałożyć ją na swoją rękę jak bransoletkę i przytknąć potem na chwilę do ciała upragnionej kobiety a skutek będzie piorunujący: przez kilka dni z rzędu urzeczona bogdanka będzie szalała z namiętności. Valentin, 17-letni erotoman ukajalski, potrzebuje skórki bufea).

Wypływamy do Binuji. Niezbyt szeroka rzeka o czarnej wodzie pozwala nam ostrzeliwać obydwa brzegi. Wobec wezbranej Ukajali nurty Binuji płyną w odwrotnym kierunku, od ujścia ku źródłom.

Nagle przeżywamy chwilę cudownych przemian w powietrzu: szare, posępne dotychczas tumany mgły wznoszą się ponad puszczę i zaczynają świecić intensywnym, różowym blaskiem. Potem rozpływają się i pierwsze promienie słońca padają na wierzchołki drzew. Było przedtem chłodno jak w poranek wczesnojesienny w Polsce. Teraz w ciągu kilku minut nastają tropikalne upały. Rzęsisty pot leje się z czoła.

Na błotnistej kępie leży dwumetrowy kajman, niesamowita kłoda utajonej groźby. Nie śpi. Gdy zbliżamy się na dwadzieścia kroków, podnosi łeb i leniwym ruchem zsuwa się do wody. Aż dziw bierze, że w tak małej rzece, o połowę mniejszej niż Warta pod Poznaniem, żyją tak wielkie potwory. Nie strzelam do kajmana, bo chodzi mi o ptaki.

\ ptaki są. Tuż niedaleko miejsca, gdzie gad leżał, żeruje na roślinach wodnych kilka kurek jasana, nieświadomych czyhającego na nie niebezpieczeństwa. Ruchliwe, bronzowe ptaki o żółtych pod spodem skrzydłach są uosobieniem wdzięku i wesołości. Przyroda obdarzyła je długimi groteskowymi palcami, dzięki którym ptaki mogą utrzymać się na najmniejszych liściach na powierzchni wody. Jasany skaczą wesoło z liści na liście, mało zważając na naszą obecność. Dopiero na odgłos strzału zrywają się do lotu, lecz sto kroków dalej znów opadają. Dziwna beztroska. Wciągamy zabitą kurkę do kanoe i już gotuję się do następnego strzału. Wtym nad nami przelatuje wielki jak jastrząb zimorodek martin peskador i siada na gałęzi niedaleko jasan. A tu odzywa się w pobliżu inny ptak: tok, tok, bijąc jakby młotem o drzewo. Żółty dzięcioł. Najciekawszy ze wszystkich ptaków, które dookoła widzimy, więc w jego stronę podpływamy.

Przyczepiony do pnia, uderza zawzięcie w korę, lecz zanim podnoszę fuzję do strzału, ptak odlatuje w głąb lasu, na następne drzewo. My za nim.

Wpływamy między pnie i nagle jesteśmy jakgdyby w zupełnie odmiennym świecie. W zielonym półmroku przedstawia nam się niezwykły, oszałamiający widok: gdziekolwiek spojrzeć, wyrastają z wody drzewa. Jakaś koszmarna wizja potopu w dzień ostateczny. Łódź przeciska się między wilgotnymi pniami, gdzieniegdzie krzewiaste podszycie utrudnia nam pościg. Ale mimo to posuwamy się naprzód i tak podobno moglibyśmy płynąć pod drzewami w jednym kierunku przez dziesięć dni: las jest zatopiony na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów, a może i więcej.

Dzięcioł, skacząc z pnia na pień, zwodzi nas coraz głębiej w puszczę. Przed nami wyłania się jakaś mała wysepka, w której gąszczu ukrył się ptak i stuka. Dalszy pościg łodzią jest niemożliwy. Estanislao sięga po moją strzelbę i wyskakuje na ląd. Po chwili rozlega się jego strzał.

— Mam go! — woła myśliwy, a potem nagle słyszymy jego przeraźliwy okrzyk i paniczną ucieczkę w naszą stronę. Z bladą od strachu twarzą Estanislao wyskakuje z zarośli, wpada do łodzi i gwałtownie ją odpycha:

— Czuszupi!!

W ślad za Estanislao'em pojawia się przeszło dwumetrowy wąż, ścigający go zaciekle w długich, sprężystych skokach: czuszupi, jasnobrązowy postrach ukajalskich lasów, jadowity w zębach i w ogonie, jedyny wąż, napadający na człowieka. Wyrywam dubeltówkę z rąk Estanislao'a i strzelam. Trafiam czy chybiam, niewiadomo. Bryzgi wody opryskują nas i ogromnie kotłuje się w głębinie, a potem nastaje złowroga cisza: gdyby nie bańki na wodzie, nic nie świadczyłoby o tym, że wielkie niebezpieczeństwo, jak błyskawica zmąciło przed chwilą sielankowy, mroczny spokój lasu.

Estanisłao szybko wiosłuje, by uciec z groźnego miejsca. Tymczasem Valentin siedzi nieruchomo, a potem zaczyna się śmiać nieludzkim, przeszywającym śmie chem. Estanislao woła na niego, żeby się wziął za wiosła. On nic; śmieje się nadal, przyczym wstrząsa niebezpiecznie całą łodzią. Odwracam się zaniepokojony. Valentina ogarnął szał. Śmieje się z przerażenia a w oczach jego wyraz obłędu.

— Milcz, psiakrew!!! — krzyczę z całych sił i zamierzam się na niego kolbą strzelby.

To skutkuje. Valentin milknie i posłusznie łapie za wiosło. Szczękają mu tylko zęby. Wąż czuszupi wlazł mu w nerwy.

Z książki A. Fiedlera: „Ryby śpiewają w Ukajali", Tow. wyd. „Rój".



Zdjęcie z krzyża Rubens



Uroczystość wręczenia szkole w Teresówce radioodbiornika ofiarowanego przez Lasy Państwowe

NA POŻYCZKĘ LOTNICZĄ.

Zebrani w dniu 30-ym marca 1939 r. funkcjonariusze Dyrekcji Naczelnej i Instytutu Badawczego Lasów Państwowych w Warszawie jednogłośnie uchwalili:

Jaknajgoręcej poprzeć akcję subskrypcyjną zapowiedzianej przez Rząd pożyczki państwowej na cele lotnictwa i dozbrojenie armii,

wziąć udział w subskrypcji według norm następujących:

1 grupa		do zł 160	— zł 20
2 „	od zł 161	„ „ 300	— 25%
3 „	„ „ 301	„ „ 400	— 35%
4 „	„ „ 401	„ „ 600	— 50%
5 „	„ „ 601	„ „ 1000	— 75%
6 „	„ „ 1001	„ „ 2000	— 100%
7 „	ponad zł. 2000		— 150%

Z TARTAKU ZAGÓRZE.

Jak doniosłe znaczenie ma akcja Administracji Lasów Państwowych w kierunku szerzenia rozwoju życia świetlicowego na terenach, skupiających większe ośrodki zespołów robotniczych, świadczy fakt, że dzięki wybudowaniu w bieżącym roku na terenie Tartaku Państwowego Zagórze budynku świetlicowego i zaopatrzenia jej w radio z adapterem i scenę, z wcale udatnie wykonywanymi dekoracjami, stała się ona ośrodkiem, ścigającym w godzinach wieczornych znaczne ilości nie tylko robotników tartacznych, lecz również ich rodziny, a nawet osoby stojące poza tartakiem.

Wprowadzenie systematycznych, dwa razy na tydzień, wykładów prowadzonych przez zaproszonych prelegentów, cieszy się wyraźnym zainteresowaniem słuchaczy, frekwencja których stale wzrastająca świadczy jak pożądanym jest żywe słowo, w wielu wypadkach wyjaśniające często fałszywe pojęcia o wypadkach bieżącego życia, a nawet zapobiegające tendencyjnemu nastawieniu umysłów w kwiestiach zrozumienia obowiązków obywatela w stosunku do Państwa i Ojczyzny.

Również wielkim zainteresowaniem cieszy się akcja organizacji popisów i wystąpień scenicznych, nie tylko prowadzona przez młodzież robotniczą, lecz także przez zespoły amatorów z grona starszych robotników.

TARTAK ŁYSE.

W dniu 2 marca 1939 r. robotnicy tartaku Państwowego w Łysem na ogólnym zebraniu w świetlicy robotniczej powzięli jednomyślną uchwałę, mocą której ofiarowali na F. O. N. jeden dzień pracy w okresie pracy 1—15.III. 1939 r. Z sumy uzyskanej uchwalono zakupić i ofiarować Armii karabin maszynowy.

IWACEWICZE.

W dniu 25.III. 1939 r. pracownicy umysłowi i fizyczni Tartaku Państwowego Iwacewicze, na zebraniu ogólnym, postanowili — wobec powagi chwili dziejowej — ofiarować wartość jednej dniówki, w kwocie około 1.200 zł na Fundusz Obrony Narodowej.

Zadeklarowana suma zostanie zebrana i przekazana do dnia 15 kwietnia 1939 r.

REGNY.

Przy niniejszym przesyłam do Redakcji z uprzejmą prośbą o przekazanie na potrzeby F.O.N. zebraną samorzutnie przez robotników jednego z leśnictw Nadleśnictwa Regny, w dniu 25 b. m. sumę: 20 zł 82 gr. (dwadzieścia i 82/100 złotego), 6 rubli i 5 kop rosyjskich, przedwojennych w srebrze, 1/6 talara z 1814 r. w srebrze.

Kazimierz Dąbrowski
robotnik leśny.

OFIARY NA F. O. N.

Złożoną do mojej dyspozycji przez Koleżanki i Kolegów, niezależnie od wieńców na trumnę mojego tragicznie zmarłego syna, kwotę 250 zł. (dwieście pięćdziesiąt) — przeznaczam na Fundusz Obrony Narodowej.

Józef Rosiński.

Przesyłam pod adresem Redakcji ślubną obrączkę złotą, jako ofiarę na Fundusz Obrony Narodowej.

Jednocześnie wzywam Kolegów do składania ofiar w postaci złota i drogich kamieni na powyższy cel, Redakcję zaś proszę o utworzenie rubryki w „E. L.“ do przyjmowania ofiar na FON.

B. Zarzycki.



ARTYSTYCZNA MAPA LASÓW POLSKICH

W związku z udziałem Lasów Państwowych w Wystawie Światowej w Nowym Yorku, Dyrekcja Nacz. Lasów Państwowych wydała piękną, wielobarwną mapę, przedstawiającą rozmieszczenie lasów i zwierzyny łownej w Polsce. Oryginalność mapy polega m. in. na tym, że autorzy jej, dwaj młodzi malarze, Kanarek i Lipski połączyli w sposób artystyczny i pomysłowy nowoczesną w tekście i pomyśle kompozycję z pewną staroświecczyzną, osiągając w ten sposób jakgdyby patynę starych, artystycznych druków. Zarówno ze względu na wysokie wartości artystyczne, jak i na treść — mapa ta obudziła żywe zainteresowanie w świecie leśników i myśliwych i to nietylko u nas, ale za granicą, czego dowodem są liczne zamówienia napływające z Anglii, Holandii, Niemiec itd.

Mapę nabywać można w „PRASIE LEŚNEJ“, w Warszawie, ul. Wawelska 54.

„Dzieje Puszczy Białowieskiej w Polsce przedrozbiorowej (w okresie do 1798 roku)“ — Otton Hedemann, nr. 41 Serii A — Rozprawy i sprawozdania — wydawnictwa Instytutu Badawczego Lasów Państwowych; streszczenie w języku francuskim, str. 310, map 5, cena 15 zł. Rozdział I tej pracy napisał Otton Hedemann, dwa pozostałe rozdziały opracował Wiktor Hartman na podstawie materiałów, zebranych przez ś. p. O. Hedemanna. Sygnalizując narazie ukazanie się dawno oczekiwanej historii Mekki polskiego leśnictwa, odkładamy szersze omówienie tej pracy do jednego z następnych numerów „Ech Leśnych“. Pragniemy tu jedynie przypomnieć naszym Czytelnikom, iż „Echa Leśne“ drukowały niejednokrotnie w latach ubiegłych niezmiernie interesujące przyczynki do dziejów Puszczy, pióra Hedemanna, będące fragmentarycznymi wynikami badań, podjętych przez ś. p. Autora nad całokształtem historii Puszczy Białowieskiej.

„Drugi przyczynek do znajomości puszczy Czarnohory“. — J. Fudakowski (Kraków), W. Niesiołowski (Kraków), L. Sagan (Kraków), R. Wojtusiak (Kraków), J. Zabłocki (Kraków); nr. 42 serii rozpraw — wydawnictw Instytutu Badawczego L. P., streszczenia w języku francuskim; str. 54. W ślad za pierwszym przyczynkiem (nr. 8 serii rozpraw Instytutu Badawczego L. P., rok 1935) praca niniejsza jest dalszym ciągiem inwentaryzacji właściwości zoologicznych rezerwatu Czarnohorskiego. Autory rejestrują występowanie okazów poszczególnych gatunków świata owadziego oraz ssaków z następujących grup: szarańczaki, motyle większe, motyle drobne, chrząszcze, wielkoskrzydłe, wojsiłkowate, muchówki, pluskwiaki, błonkówki (rośliniaki, osowate, złotki) oraz z pośród ssaków — grupa gryzoni. Stwierdzeniu występowania niektórych gatunków towarzyszą cenne spostrzeżenia, pozwalające bliżej poznać biologię tych gatunków na tle właściwości geograficzno-klimatologicznych rezerwatu czarnohorskiego.

„Określenie wilgotności nasion metodą barwnej reakcji“ — dr. Stanisław Tyszkiewicz, nr. 5 Serii B — wydawnictw pomocniczych i techniczno-gospodarczych Instytutu Badawczego L. P.; karton 4-ostronicowy z tablicą barwną, cena 55 gr. Metoda, opracowana przez dr. Tyszkiewicza, kierownika Stacji Oceny Nasion Instytutu Badawczego, polega na zastosowaniu właściwości soli kobaltu, które w stanie bezwodnym są niebieskie, a absorbując wilgoć stopniowo zmieniają barwę na różową. Papierek, nasycony solami kobaltu i wysuszony do koloru niebieskiego, wkłada się, z zachowaniem przepisanej ostrożności do naczynia z nasionami, przysypując go nimi; po upływie 20 minut należy wyjąć papierek i szybko porównać jego barwę ze skalą kolorów, umieszczoną na stronie 3-ciej kartonu. W zależności od tego, któremu z podanych w kartonie 5 kolorów odpowiada barwa papierka, rozróżniamy 5 zasadniczych grup nasion pod względem ich wilgotności: 1 — nasiona nadmiernie suche; 2 — nasiona suche; 3 — nasiona o właściwym stopniu wilgotności; 4 — nasiona nieco za wilgotne i 5 — nasiona nadmiernie wilgotne. Autor podaje dalej praktyczne wskazówki gospodarcze w odniesieniu do wymienionych wyżej grup nasion, mając na celu utrzymanie wartości nasienia przez czas możliwie najdłuższy. Wskazówki te dotyczą nasion sosny i świerka.

„Zeitschrift für Weltforstwirtschaft (Czasopismo poświęcone leśnictwu światowemu) — tom VI, zeszyt 5, za luty 1939 r., wydany w marcu. Jako współpracowników swoich ze strony leśnictwa polskiego miesięcznik wymienia: profesorów S. G. G. W. Dominika, Grochowskiego i Miklaszewskiego oraz dyrektora Instytutu Badawczego L. P. Hausbrandta i dr. Nunberga.

Omawiany zeszyt „Z. f. W.“ zawiera na wstępie dłuższy artykuł dr. F. Freise z Rio de Janeiro p. t. „Beobachtunegen in Zweitwuchsbeständen aus dem Küstenurwaldgebiet Brasiliens“—„Obserwacja nad wtórnymi drzewostanami puszcz dziewiczych w nadmorskiej strefie Brazylii“. Ze względu na to, iż w Brazylii znajdują się liczne kolonie polskie, prowadzące często gospodarkę rolną o bardzo opłakanych skutkach, opisywanych przez autora, podajemy niżej zwięzłe streszczenie artykułu.

Na olbrzymiej przestrzeni 110.000 kilometrów kwadratowych puszcz brazylijskich od Pernambuco po Santa Catharina prowadzone jest od kilkuset lat specyficzne gospodarstwo rolne: dla pozyskania ziemi pod uprawę krzewu kawy lub pod inne uprawy rolne wyrębuje się i pali las; po wyczerpaniu gleby, pozostawia się ją odłogiem, aż do porośnięcia lasem, poczem ten nowo-utworzony drzewostan spala się znów dla użyźnienia gleby. Po kilkakrotnej takiej operacji gleba wyczerpuje się do tego stopnia, iż nie jest już zdolna do jakiejkolwiek produkcji, i ulega erozji aż do skalistego podłoża, w najlepszym zaś razie pokrywa się na wielkich przestrzeniach twardymi, nieużytecznymi trawami.

Istnieją jednak znaczne obszary, na których ten niszczycielski cykl nie odbył się do końca; z różnych powodów gospodarka ludzka, po jednorazowym wytrzebieniu i wypaleniu lasu, została zaniechana, pozostawiając po sobie wspomniany wyżej wtórny drzewostan. Składa się on z gatunków o krótkim życiu, technicznie małowartościowych. Rola takiego drzewostanu, pozostawionego własnemu losowi, bez ingerencji człowieka, polega na przygotowaniu pola dla drzewostanu właściwego, pierwotnego, który też istotnie wytwarza się z biegiem czasu. Jest to więc rola sukcesji. W odróżnieniu jednak od naszych stosunków, określonemu drzewostanowi pierwotnemu, zniszczonemu przez człowieka, nie odpowiada bynajmniej określona, jemu tylko właściwa sukcesja, a dalej, zdegenerowany drzewostan w swej ostatecznej formie posiada jednak inny skład, niż drzewostan pierwotny.

Ciekawe swoje wywody kończy autor szeregiem wniosków natury gospodarczej (jeśli w ogóle można mówić o gospodarce leśnej w warunkach brazylijskich), polegających na konieczności pozostawienia takiego drzewostanu wtórnego biegowi czasu, zapewnienia mu ochrony przed ponownym wkroczeniem człowieka; przekształci się on wówczas w drzewostan wartościowy. Jedynym zabiegiem, jaki należałoby stosować, byłoby dostarczenie drzewostanowi wtórnemu, drogą siewu, gatunków, jakie istniały w drzewostanie pierwotnym.

KRONIKA WYDARZEŃ

Z KRAJU

POŻYCZKA OBRONY PRZECIWLOTNICZEJ

Ogłoszono urzędowo, że na posiedzeniu Rady Ministrów postanowiono, w oparciu o ustawę o dotacjach na rzecz Funduszu Obrony Narodowej i o inwestycjach z funduszów państwowych, wypuścić wewnętrzną pożyczkę państwową, przeznaczoną na cele rozbudowy lotnictwa wojskowego i artylerii przeciwlotniczej. Pożyczkę wypuszczono w obligacjach i bonach pod nazwą 5% Pożyczka Obrony Przeciwlotniczej i 3% Bony Obrony Przeciwlotniczej. Pożyczka umarzana będzie po kursie 100 za 100 w ciągu 15 lat w drodze losowania. Bony wypuszczono w odcinkach po 20 zł. na lat 5. Subskrypcja pożyczki otwarta została dn. 5 kwietnia i potrwa do 5 maja r. b. Na komisarza pożyczki powołany został prezes Ligi Obrony Powietrznej Państwa — generał broni Leon Berbecki.

WYSOKI PROTEKTORAT POŻYCZKI OBRONY PRZECIWLOTNICZEJ

Dn. 30 marca Prezydent Rzplitej przyjął generalnego komisarza Pożyczki, gen. Berbeckiego z meldunkiem o postępach akcji pożyczkowej. P. Prezydent Rzplitej jako Pierwszy Obywatel wręczył gen. Berbeckiemu deklarację kwoty 20.000 zł. na Pożyczkę i jednocześnie przyjął wysoki protektorat nad naczelnym komitetem Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej. Z kolei generalny Inspektor Sił Zbrojnych, Marszałek Śmigły-Rydz przyjął gen. Berbeckiego i wyraził zgodę na objęcie protektoratu nad Naczelnym Komitetem Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej.

POSIEDZENIE NA ZAMKU.

Dn. 1 b. m. na Zamku w obecności P. Prezydenta Rzplitej i Marszałka Śmigłego-Rydza ukonstytuował się Naczelny Komitet Pożyczki Przeciwlotniczej. Do Komitetu weszli przedstawiciele wszystkich odłamów myśli politycznej w Polsce, dokumentując swoją jedność i spoistość narodową w dziedzinie obrony państwa.

Na posiedzeniu tym wicepremier, min. skarbu, Kwiatkowski wygłosił dłuższe przemówienie, w którym m. inn. powiedział: Rząd i minister skarbu, są formalnie inicjatorami tej pożyczki, ale inicjatorem faktycznym jest samo społeczeństwo zsolidaryzowane głęboko z armią polską i jej Wodzem.

Naród swej armii i sobie — zakończył wicepremier.

AUDIENCJE NA ZAMKU.

W ciągu przedostatniego tygodnia Wielkiego Postu P. Prezydent Rzeczypospolitej udzieli na Zamku kilku audiencji przedstawicielom społeczeństwa, reprezentującym różne odłamy myśli politycznej poza Obozem Zjednoczenia Narodowego.

Dnia 30 marca P. Prezydent Rzeczypospolitej przyjął na łącznej audiencji pp. prof. Franciszka Bujaka, prof. Stanisława Estreichera, prof. Stefana Glasera, prof. Stanisława Grabskiego, b. posła w Pradze hr. Zygmunta Lasockiego, rektora Tadeusza Lehr-Spławińskiego, prof. Stanisława Pigonia i b. ministra Ratajskiego.

Tegoż dnia P. Prezydent Rzplitej przyjął dwóch ludowców p. Witka i Krzeptowskiego.

Dn. 3 1marca był u P. Prezydenta Rzplitej generał Józef Haller, a dnia 1 b. m. — Prymas Polski Kardynał Hlond i delegacja P. P. S. i Związków Zawodowych, do której należeli pp. Tomasz Arciszewski, Kazimierz Pużak, Wilhelm Topinek i Mieczysław Niedziałkowski.

Wszystkie te delegacje przedstawiały P. Prezydentowi Rzplitej swe poglądy na sytuację polityczną i międzynarodową.

PISMO PANI MARSZAŁKOWEJ PIŁSUDSKIEJ.

W końcu marca obradował w Warszawie nadzwyczajny walny zjazd organizacji przysposobienia wojskowego kobiet do obrony kraju. Na zjazd ten p. Marszałkowa Aleksandra Piłsudska nadesłała list, w którym pisze m. in.:

„W tej poważnej, groźnej sytuacji, w jakiej znajduje się cała Europa w obecnej chwili stoją przed Wami SzPanie wielkie zadania do spełnienia. W razie wojny nie wystarczy już rola kobiety zastępującej mężczyznę na tyłach armii, musimy być gotowe do zastąpienia mężczyzn, gdy tego zajdzie potrzeba i na polu walki, aż do zupełnego zwycięstwa“.

PODRÓŻ MIN. BECKA DO ANGLII.

Dnia 2 b. m. wyjechał do Londynu z Warszawy minister spraw zagranicznych Beck. Program przewidywał trzydniowy pobyt ministra w Anglii w dn. 4, 5 i 6 b. m., poświęcony naradom z kierowniczymi czynnikami polityki angielskiej. Dn. 5 b. m. minister Beck był u króla Jerzego VI w Windsorze na audiencji, a w ostatnim dniu na zaproszenie rządu W. Brytanii min. Beck zwiedził brytyjską flotę wojenną w Portsmouth.



Na zjeździe przedstawicieli O.Z.N. wchodzącego p. marszałka wśród entuzjastycznych okrzyków wzniesiono na rękach



Prezes Wspólnoty Interesów wręcza p. woj. Grażyńskiemu czek na pół miliona zł na pożyczkę lotniczą

NOWY PREZES POLSKIEJ AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI.

Dn. 28 marca walne zgromadzenie Polskiej Akademii Umiejętności powołało na prezesa Akademii po zmarłym ś. p. profesorze Stanisławie Wróblewskim prof. Stanisława Kutrzebę, dotychczasowego sekretarza generalnego.

ZE ŚWIATA

OŚWIADCZENIE PREMIERA CHAMBERLAINA O POLSCE.

Na posiedzeniu angielskiej Izby Gmin w dn. 31 marca premier W. Brytanii sir Neville Chamberlain złożył oświadczenie, które w dyskusji nazwano najdonioślejszym w ciągu ostatniego ćwierćwiecza i deklaracji, złożonych przez szefów rządu angielskiego. Najistotniejszy ustęp tego oświadczenia brzmiał: W razie jakiejkolwiek akcji, która wyraźnie zagrażałaby polskiej niepodległości, a której rząd polski uważałby za konieczne przeciwstawić się wszystkimi siłami narodu, rząd brytyjski uważałby, że jest zobowiązany do okazania rządowi polskiemu całkowitego poparcia, jakie będzie w jego mocy. Pod tym względem udzielono zapewnienia rządowi polskiemu. Rząd francuski upoważnił rząd brytyjski do wyraźnego oświadczenia, iż w tej samej sprawie zajmuje takie samo stanowisko, jak rząd brytyjski.

W dalszych oświadczeniach premier Chamberlain dodał, że rząd brytyjski odbywa konsultacje z różnymi innymi krajami i z rządem Sowietów w tej liczbie, aby wzięły udział w umowie przeciw wszelkiemu napastnikowi.

MOWY MUSSOLINIEGO I DALADIER'A.

Dn. 26 marca w Rzymie szef rządu włoskiego, Mussolini, wygłosił przemówienie, w którym miały być sformułowane żądania Włoch pod adresem Francji. Zapowiedź ta nie sprawdziła się w całej pełni, gdyż Mussolini powiedział wprawdzie, że problemy istniejące pomiędzy Francją a Włochami to: Tunis, Dżibuti, kanał Suezki, ale nie powiedział o co mu w tych problemach chodzi. Jednocześnie premier Italii reklamował spoistość osi Rzym — Berlin, nie groził jednak nikomu wojną.

Na mowę Mussoliniego odpowiedział premier francuski Daladier w dn. 29 marca, oświadczając, że Francja nie ustąpi ani piędzi ziemi swojej Włochom. Mussolini zabrał głos po raz drugi w Cosenzy (Włochy Południowe), twierdząc, że Włochy mogą poczekać, wsparte o karabiny.

NOWY RZĄD LITWY.

W Litwie utworzył się dn. 27 marca gabinet koncentracji narodowej. Na czele gabinetu stanął szef sztabu generał Czerning. Do rządu weszła po raz pierwszy od 13 lat opozycja, a mianowicie chrześcijański demokrata Bistras, który jeszcze przed miesiącem siedział w obozie koncentracyjnym i ludowiec Tamoszajtis. Sejm litewski w Kownie dnia 30 marca, w milczeniu, ale bez głosowania przyjął do wiadomości rezolucję o zagarnięciu przez Niemcy Kłajpedy.

ROKOWANIA WĘGIERSKO-SŁOWACKIE.

Po tygodniowych krwawych walkach, dnia 31 marca delegacja słowacka zgodziła się na przyjęcie propozycji węgierskiej co do granicy między Słowacją a Węgrami za podstawę rokowań. Według żądań Węgrów do Węgier przeszła by część terytorium Słowacji aż do linii kolei Koszyce—Preszów—Muszyna.

Signum.



W 20-rocznicę założenia partii faszystowskiej, Mussolini dokonał dekoracji starych sztandarów partyjnych

P. W. L.



Piękną nagrodę przechodnią ufundowaną przez dyr. P.U.W.F. i P.W. — zdobyła zwycięska ekipa krakowsko-śląskiego P.W.L.

IV. MARSZ ŻUŁÓW — WILNO

Jeszcze nie zapomniane są wspaniałe zwycięstwa narciarzy z pod znaku P.W.L. Lwów, na szlaku zimowym huculskim II Brygady Legionów w Karpatach, gdy obecnie znów patrole tych samych barw odniosły nowe zwycięstwa na Szlaku Żułów — Wilno, uzyskując najlepsze miejsce wśród wszystkich patroli.

Tegoroczny czwarty Zimowy Marsz Narciarski Żułów — Wilno, ku czci Pierwszego Marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego, otwarty został uroczyście w dniu 24-go lutego br. w sali miejskiej w Wilnie.

Kapryśna zima tegoroczna okazała się łaskawa, gdyż niemal w ostatnich godzinach przed rozpoczęciem marszu, spadł śnieg, umożliwiając narciarzom odbycie trasy w warunkach normalnych, t. zn. na nartach, co powitane zostało przez wszystkich zawodników z wielką radością.

Ogółem do losowania stanęło 67 patroli i 30 zawodników indywidualnych, w tym dwa patrole P.W.L. t. j. z Okręgu Lwowskiego i Warszawskiego.

Po złożeniu raportu oraz po złożeniu przysięgi, orkiestra odegrała marsza I Brygady i z tą chwilą zaczął się IV. Marsz Żułów — Wilno. O godzinie 9.45, z pod pięknej bramy zaczęły startować pierwsze patrole.

Na trasie rozgrywała się niezmiernie ciekawa walka o jak najlepszy czas w pierwszym etapie. Walka rozegrała się, jak to było do przewidzenia, między P. W. L. Okręgu Małopolskiego, a A.Z.S. z Wilna w zespołach, oraz pomiędzy zawodnikami indywidualnymi.

Już po obliczeniu czasów w pierwszym dniu Marszu, patrol P. W. L. — Lwów, wysuwa się na pierwsze miejsce i broni tego miejsca do ukończenia zawodów, uzyskując pierwsze miejsce w ogólnej klasyfikacji, przebywając całą trasę w czasie 8.09.03. Koterba Franciszek z P. W. L. Lwów uzyskał II-gie miejsce na 30 zawodników indywidualnych.

Patrol uzyskał dyplom z przebiegu trasy z Komitetu Organizacyjnego Marszu z tym, że patrol ten zakwalifikowany został poza konkursem, a to dlatego, ponieważ w zespole swym posiadał zawodników zrzeszonych w P. Z. N.

Liczne głosy miejscowej prasy wileńskiej podnosiły wysoką klasę sportową leśników, a o zespole P. W. L. ze Lwowa „że forma Leśników była bezkonkurencyjna".

Ostatnie zawody, to zamknięcie pięknej karty tegorocznwch wyczynów narciarza-leśnika.

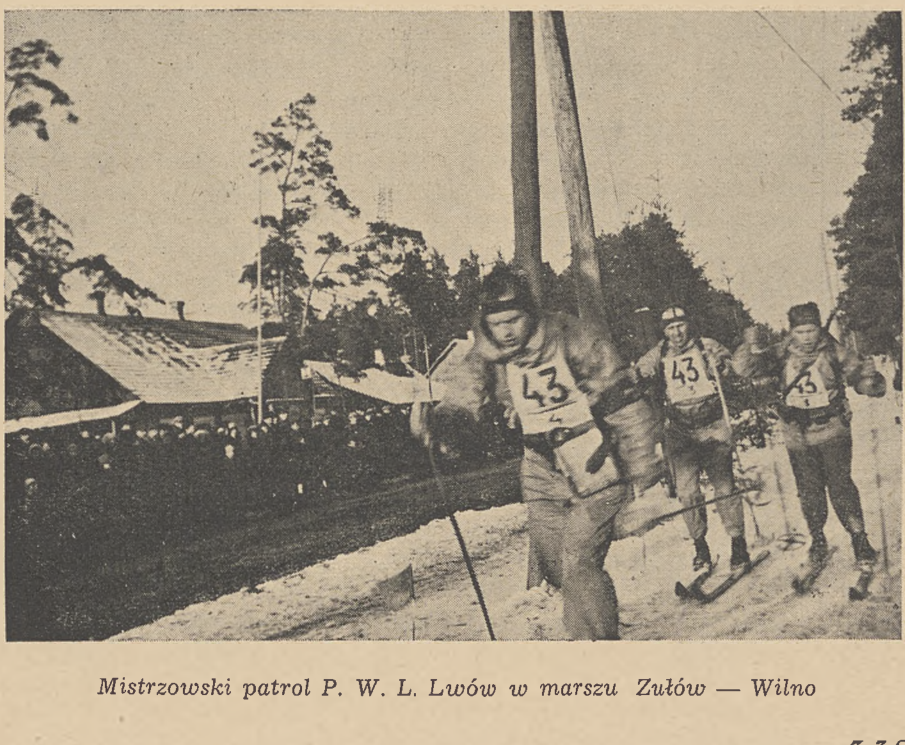
Z ZARZĄDU GŁÓWNEGO

Zarząd Główny Przysposobienia Wojskowego Leśników przesłał na ręce Naczelnego Wodza depeszę treści następującej:

Marszałek Polski
Edward Śmigły-Rydz
GISZ

Panie Marszałku!

W chwili, gdy cała Polska z czujnym spokojem śledzi rozwój historycznych wypadków, gdy w każdej polskiej piersi rośnie poczucie narodowej mocy i niezłom-



Mistrzowski patrol P. W. L. Lwów w marszu Żułów — Wilno



KOMITET WALKI O ŚLĄSK ZA OLZĄ
CENTRALA W KATOWICACH
SKŁADA
P.T. Przysp. Wojsk. Leśników Koło Białowieża
Białowieża
1 PAŹDZ. 1938 R.
NINIEJSZYM SERDECZNE PODZIĘKOWANIE ZA HOJNY DAR ZŁ 546.- NA RZECZ AKCJI ODZYSKANIA ŚLĄSKA ZAOLZAŃSKIEGO DLA RZECZPOSPOLITEJ
PREZYDIUM KOMITETU:
DR. LEON WOLF PREZES
KAROL GRZESIK PREZES
DR. WŁODZIMIERZ DĄBROWSKI WICEPREZES
DR. WŁADYSŁAW MICHEJDA WICEPREZES
KAROL KOCYCH SKARBNIK
RUDOLF BRACHACZEK SEKRETARZ
KATOWICE, DATA STEMPLA POCZTOWEGO
KARWINA
TRZYNIEC

nej wiary we własne siły, my leśnicy polscy, skupieni w organizacji Przysposobienia Wojskowego Leśników meldujemy Ci posłusznie, że jesteśmy gotowi na Twoje rozkazy. Stajemy w karnym szeregu z całym społeczeństwem polskim, gotowi z radością i dumą złożyć ofiarę mienia i krwi.

Zarząd Główny
Przysposobienia Wojskowego
Leśników

P. W. L. BIAŁOWIEŻA.

Za dar przekazany P.W.L. w Białowieży komitetowi walki o Śląsk za Olzą — prezydium komitetu nadesłało zarządowi P. W. L. — piękne podziękowanie.

RODZINA LEŚNIKA

JAŹWINY

W dniu 30 grudnia 1938 r. w lokalu Urzędu Nadleśnictwa Jaźwiny, odbyła się „Choinka" dla dzieci członków tut. placówki Rodziny Leśnika.

„Choinkę" urządzono ze składek zebranych na Walnym Zebraniu R. L. oraz ofiar składanych w naturze.

Przybywające dzieci witała przewodnicząca placówki, po odśpiewaniu zaś kolędy przy choince, zaproszono dzieci do sutego podwieczorku. Po podwieczorku rozpoczęto zabawę śpiewaniem kolęd, piosenek, popisywano się tańcami i grano w różne zabawy — słowem dzieci bawiły się znakomicie.

Szczytem uroczystości było ukazanie się Gwiazdora z koszem wyładowanym różnokolorowymi torbami, napełnionymi orzechami, jabłkami i słodyczami.

Rozdaniem łakoci zakończono uroczystość, za urządzenie której w imieniu dzieci podziękowała p. przewodniczącej Pelcia Kantonistówna.

Podkreślić należy z uznaniem pomysł urządzenia „Choinki" w jednym miejscu dla wszystkich dzieci, członków tut. placówki, w przeciwieństwie do urządzanych dotąd „Choinek" w leśniczówkach. Miało to na celu nie tylko względy ekonomiczne, lecz wobec zbliżenia dzieci o różnym poziomie inteligencji, również cel wychowawczy.

Z DZIAŁALNOŚCI KOŁA RODZINY LEŚNIKA W SIEDLCACH

W grudniu 1938 r. Sekcja Kulturalno-Oświatowa Koła Rodziny Leśnika w Siedlcach zwróciła się do profesora Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego dra Mariana Sokołowskiego z prośbą o wygłoszenie odczytu o jego wyprawach wysokogórskich.

Ś. p. dr M. Sokołowski w dniu 18 grudnia 1938 r., tj. równo na miesiąc przed swoją przedwczesną śmiercią, wygłosił w świetlicy R. L., wypełnionej członkami R. L. i publicznością z miasta, nadzwyczaj ciekawy odczyt, bogato ilustrowany przezroczami, o wyprawie w góry Kaukazu.

Być może, że był to ostatni odczyt znakomitego prelegenta i wielkiego polskiego alpinisty.

Poza tym odczytem Koło R. L. w Siedlcach w zakresie pracy kulturalno-oświatowej zorganizowało w grudniu ub. r. wycieczkę dla swoich członków do Muzeum Narodowego w Warszawie. W wycieczce tej wzięło udział dwadzieścia kilka osób.

GARBATKA

Dnia 22 grudnia 1938 r. odbyła się „Choinka" dla dzieci robotników Tartaku Państw. w Garbatce.

Na tę miłą uroczystość, która odbyła się w jadalni robotniczej Tartaku, złożyło się: przemówienie miejscowego księdza proboszcza, okolicznościowe deklamacje dzieci, w przerwie których nadawano piękne kolędy z płyt wspaniałego elektro-gramofonu, ofiarowanego przez Dyrekcję Lasów Państwowych, oraz przemówienie „św. Mikołaja", który zjawił się z podarkami, gorąco witany przez dzieci.

Na zakończenie jedno z dzieci w pięknym wierszu dziękowało w imieniu wszystkich za pamięć i podarki.

INKLARYSZKI

Zarząd Koła Rodziny Leśnika w Inklaryszkach urządził w dniu 1.I. 1939 r. opłatek dla członków Koła i choinkę dla ich dzieci. Na uroczystość przybyli licznie członkowie Koła z żonami i dziećmi w ilości ogólnej 77 osób. Po złożeniu życzeń noworocznych wszystkim obecnym przez pp. Nadleśniczych, podzielono się opłatkiem, po czym nastąpiła największa atrakcja, gdyż zjawił się św. Mikołaj, który obdarzył wszystkie dzieci pięknymi podarkami, przystosowanymi do wieku dziecka, jak: książki dla dzieci starszych oraz przeróżne zabawki dla młodszych, lalki, piłki, auta, konie, karabiny itp. za ogólną sumę 60 zł. Po spędzeniu kilku chwil przy choince i odśpiewaniu kolęd, p. przewodnicząca poprosiła dzieci i starszych na herbatkę, którą przygotował i urządził Zarząd Koła.

W serdecznym i rodzinnym nastroju upłynęło kilka godzin, po czym wszyscy rozjechali się do domu.

NOWA ŚWIETLICA W PAWLIKOWICACH.

Staraniem Koła Rodz. Leśnika przy Nadleśnictwie Pawlikowice, w dniu 6.I. br. odbył się tradycyjny opłatek oraz poświęcenie Świetlicy Koła przy współudziale zebranych członków i gości.

Uroczystość zagaiła Przewodnicząca Koła p. Badowska, gorąco dziękując Nadleśniczemu p. B. Bajdeckiemu za pomoc przy stworzeniu takiego ogniska, jakim jest świetlica dla Koła i innych stowarzyszeń, poczym Ks. proboszcz dokonał aktu poświęcenia lokalu, wygłaszając okolicznościowe przemówienie.

DERECZYN

Dnia 6 stycznia 1939 roku urządziło Koło z funduszów własnych w lokalu Nadleśnictwa Dereczyn choinkę dla dzieci. Do zebranych dzieci i rodziców przemówiła przewodnicząca Koła p. Halina Zięciakowa, potem dzieci otrzy mały podwieczorek. Po podwieczorku przy pięknie udekorowanym i oświetlonym drzewku dziatwa bawiła się ochoczo, śpiewając kolendy. Największą atrakcją było zjawienie się św. Mikołaja, który obdarował dzieci torebkami słodyczy i podarkami. Starsze dzieci otrzymały komplety pomocy naukowych, młodsze książeczki z obrazkami. Ogółem obdarowano 33 dzieci. Po zabawie dla dzieci odbyła się tańcówka dla rodziców, urozmaicona wspólną „rodzinną" herbatką i miłą pogawędką.

Dnia 1.II.1939 roku urządziło Koło w sali miejscowego kina Doroczną Zabawę Karnawałową kostiumową) urozmaiconą licznymi atrakcjami. Całkowity dochód w sumie zł 91.04 przeznaczyło Koło na Fundusz Obrony Narodowej.

Dnia 21.II.1939 roku na zakończenie karnawału urządziło Koło w lokalu Nadleśnictwa tradycyjnego „Śledzia", ze wspólną kolacją dla członków i wprowadzonych gości. Dochód przeznaczono na potrzeby Koła.

Praca w Kole rozwija się pomyślnie. W roku 1938 Koło urządziło 2 zabawy dochodowe, choinkę dla 60 dzieci, święcone dla 50 dzieci, opiekuje się sierotami po gajowym zamordowanym przez defraudantów leśnych i prowadzi placówkę dożywiania dla 50 dzieci robotników leśnych przy Szkole Powszechnej w Kuryłowiczach.

CHOINKA I OPŁATEK KOŁA R.L. BIAŁY BRZEG

Staraniem Koła R. L. w dniu 7 stycznia 1939 r. urządzono „Choinkę" dla dzieci wraz z „Opłatkiem" dla dorosłych. Pomimo dużych odległości i mrozu, Rodzina Leśnika zebrała się w komplecie. Nowa świetlica, która zarządowi zdawała się być za duża — w dniu tym okazała się ciasna. Zebrało się bowiem w niej przeszło 70 osób.

Uroczystość rozpoczęła się miłą niespodzianką dla najmłodszych — gdy zjawił się św. Mikołaj z dużą białą brodą, w łapciach i burce mocno ośnieżonej, dźwigający duży kosz na plecach. Wszystkie dzieci obecne obdarował łakociami i nie zapomniał też o tych, które musiały pozostać w domu. Po tej uroczystości zasiedli wszyscy do wspólnych stołów. Przy łamaniu się opłatkiem obecny ks. proboszcz życzył zebranym owocnej i wytrwałej pracy w tych ciężkich warunkach, w jakich leśnik polski pracuje. Po przełamaniu się opłatkiem przystąpiono do skromnego posiłku. Po kilku mile spędzonych godzinach, przeplatanych śpiewaniem kolęd i pogawędką, wszyscy rozjechali się do domów z okrzykami: „Do zobaczenia przy następnej uroczystości Rodziny Leśnika!".

PRZEDSZKOLE W CZARNEJ WSI

Dnia 18 stycznia b.r. odbyła się w naszym przedszkolu choinka dla dzieci. Przy pięknej choince w pomysłowych i efektownych przybraniach głowy, dzieci bawiły się i mile spędziły popołudnie.

Następnie w dniu 22 stycznia b. r. urządzona była „Jasełka" dla publiczności. Dzieci popisały się doskonale, a rodzice byli bardzo zadowoleni i dumni ze swych pociech, co znalazło swój wyraz w podziękowaniach, składanych wychowawczyni przedszkola. Za pieniądze zebrane z biletów wstępu na Jasełkę, zakupiono zabawki dla przedszkola. Radość dzieci trudno opisać, bo w domowych warunkach są to rzeczy niedoścignione. Będą miały jeszcze jedno więcej zainteresowanie w przedszkolu.

Przedszkole w Czarnej Wsi jest prowadzone przez Rodzinę Leśników. Dzieci w przedszkolu jest 42 w wieku od 3—7 lat. Godziny zajęć od 9-ej rano do 4-ej popołudniu. Oprócz zabaw, odpowiedniej nauki, dzieci otrzymują 3 razy dziennie pożywne i smaczne posiłki.

PŁOCICZNO

W dniu 15 stycznia b.r. została urządzona przez miejscowe Koło Rodziny Leśnika choinka dla dzieci szkolnych robotników tartaku.

Obdarowano paczkami ze słodyczami ogółem 226 dzieci.

W dniu 29 stycznia b.r. dokonano rozdania ciepłej odzieży, obuwia i bielizny dzieciom szkolnym i przedszkolnym niezamożnych robotników tartaku.

Zakupem odzieży, zakwalifikowaniem dzieci oraz rozdawnictwem zajęło się miejscowe Koło Rodziny Leśnika.

Obdarowano ogółem 65 dzieci (38 rodzin) następującymi przedmiotami:

1. Ciepłych palt 23 sztuk na sumę	197,50 zł
2. Obuwia 18 par na sumę	122,58 „
3. Ciepłych sukienek 9 sztuk na sumę	23,70 „
4. Ciepłej bielizny 14 kompl. na sumę	37,60 „
5 Skarpet wełnianych 12 par na sumę	11,— „
6. Swetrów 5 sztuk na sumę	7,60 „
Ogółem na sumę	399,98 zł

Rozdawnictwo było przeprowadzone w jadalni robotniczej tartaku, w obecności kierownika tartaku, zarządu Koła Rodziny Leśnika, przedstawicieli robotników i rodziców dzieci. Przedstawiciel robotników Bolesław Kunicki złożył podziękowanie Dyrekcji Lasów, Zarządowi Tartaku i Rodzinie Leśnika za okazaną pomoc. Na zakończenie wyświetlone zostały 2 filmy z odczytami: bajka „Tomcio Paluszek" i film propagandowy: „Jak to w Kopie dwa Michały grosz do grosza oszczędzały".

PODGÓRZE

W dniu 30.I b. r. członkowie Koła R. L. przy N-wie Podgórze własnym kosztem i staraniem urządzili doroczną choinkę dla dzieci urzędników i niższych funkc. N-twa.

Choinka szczególny miała urok dla dzieci, toteż widok jarzącego się drzewka, otoczonego malutkim ludem kolędników był rozczulający.

Cały wieczór przeszedł na śpiewach, tańcach i deklamacjach. Na zakończenie dzieci zostały obdarowane łakociami.

Za tak wiele serca i głęboką życzliwość, okazane mnie i mojej rodzinie z powodu tragicznej śmierci Syna mojego, Wojciecha, składam Wszystkim pełne szczerego wzruszenia podziękowanie.

Józef Rosiński

Sen o rewii...

(sen filozofa, czyli jak zrozumiałem „marzenia o mundurach" w Nr 3 „Ech Leśnych")

Przeraźliwie zajęczał dzwonek telefonu... Chwyciłem za słuchawkę i zdębiałem — tylko przerażona krew puściła się w ucieczkę z twarzy do pięt i z powrotem, a mówiąc stylem Wiecha „wte i we wte przez most Kierpedzia".

— Tu mówi d-ctwo N-ctwa „X".

— Tu leśniczy leśnictwa „Y".

— Co?..

— ?..

— Panie! Nie ma żadnych leśniczych... pan rozumie?..

— Tak jest! — ryknąłem do słuchawki.

—W myśl nowej instrukcji mundurowej jest pan podoficerem w leśnictwie „Y" w stopniu... jaki pan ma stopień?

— Podporucznik... — szepnąłem, już zupełnie zdezorientowany i zbity z tropu.

— Co?!!!

To „co?!!!" zmroziło mi krew w żyłach.

Fonogram...

— Tak jest!

— Dziś o godzinie czternastej przegląd sił zbrojnych, koszar, oraz bojowych urządzeń technicznych przez d-cę grupy operacyjnej D. L. P. okręgu N.

Odezwała się we mnie bojowa krew Sarmaty, wypielęgnowana przez długie pokolenia, aż do ostatniego przedstawiciela rodu włącznie, który zaledwie przed kilku jeszcze laty zaprawiał się w rycerskim rzemiośle i sztuce wojowania w „Grudziądzkiej Szkole Jazdy", ku chwale Ojczyzny i sławie oręża polskiego.

— Psia krew!.. Cholera... Jak ma być wojsko, to niech będzie wojsko. (bez „psiej krwi" i „cholery" nie może nawet być mowy o wojsku).

Pasek pod brodę, „szaszka" do boku, ostrogi do butów, na koń i hajda do lasu „sprawiać szyki bojowe rycerstwa, tudzież braci sztachty z pospolitego ruszenia".

W kilka godzin później stało to wszystko na szerokim zrębie, w kolumnach gotowych do przeglądu.

Jako ubezpieczenie, które miało meldować mi o nadjeżdżającej inspekcji, ustawiłem dwóch konnych „szeregowych zielonych" u wylotu linii oddziałowej, jednemu poleciłem wleźć na dach leśniczówki, jako że z wyższego punktu lepsze jest pole widzenia. Żałowałem, że przy leśniczówce nie mam wieży przeciwpożarowej lub triangulacyjnej, świetnie by się do tego celu nadawała.

Nagle, konny patrol „szeregowych zielonych" wpadł w galopie na zrąb z okrzykiem: „Jadą... jadą!"

Trema i zdenerwowanie, jak nigdy i na żadnej wojskowej paradzie... ale jakoś opanowałem się i głosem conajmniej Kozietulskiego z pod Samo-Sierry, podałem komendę: „Baczność! Lance, szable... w dłoń! Prezentuj... broń! Na prawo... patrz!

Ostrogi w bok i wymachując szablą wszystkie naraz znane mi kłucia i cięcia (włącznie z niemodnym już abisyńskim) pogalopowałem z raportem w stronę wysiadającego z samochodu d-cy grupy operacyjnej i sztabu (wszyscy w mundurach) składającego się z samych „oficerów zielonych".

Na kilka metrów przed d-cą zrobiłem przepisowo „stój", jak na maneżu w podchorążówce. Koń zarył czterema kopytami i stanął. Zaraportowałem: „Panie zielony... zielony... panie..." i urwałem. Jak dalej zatytułować? Ale przypomniałem otrzymany rano fonogram i z ciężkiej sytuacji wybrnąłem z honorem: „Panie d-co, zielony oficerze"... — reszta poszła dobrze.

Defilada wypadła imponująco... Oczywiście w galopie, w kawalerii nie może być inaczej.

Najpierw wyciągniętym galopem przeleciał oddział konny „szeregowych zielonych", budząc prawdziwy zachwyt sztabu.

Za konnymi z hukiem i chrzęstem „jak w dym" poszła tyraliera, którą pozorowali wozacy z kłodami olszy i brzozy fornierowej, później piechota waliła butami w rozmiękły grunt oddziałowej linii. Na samym końcu tabory i wozy sanitarne. (wozy z papierówką i ciosem).

Długoletnia tradycja rodowa nie zawiodła, spisałem się dzielnie.

W kilka dni później dostałem pochwałę i awans na „zielonego kaprala".

Gorzej było z wpisaniem awansu do książeczki wojskowej w rubryce „awanse w rezerwie" — okazało się, że nie mam „książeczki wojskowej" a do tej nie wypadało trochę wpisać tytułu kaprala po podporuczniku.

W każdym razie, awans na kaprala ucieszył mnie bardzo.

Przebudziłem się w gorączce i spocony... W obawie o zdrowie łyknąłem kilka proszków aspiryny i nie chcąc wywoływać wilka z lasu, położyłem się z powrotem do łóżka.

Sny są równie niebezpieczne, jak i marzenia. Przed kilku laty, jeden z moich kolegów — podchorążych został ukarany na 5 dni aresztu ścisłego za marzenia na posterunku. Tłumaczył się biedak, że nie spał lecz tylko marzył — właśnie za te marzenia ukarano.

Za teorię o snach Freud musiał uciekać z hitlerowskiej Austrii...

Autorowi „marzeń o mundurach" nie grozi ani jedno ani drugie, ale zupełnie szczerze radzę aby przed nominacją na „zielonego" — wziął dla pewności, kartę porady...

ppor. Ant. Nałęcz-Chorąży.

Przysłowia o lesie

— Zachciało się starej babie na kobyle do lasu.

— Bęben w lesie coś wielkiego, choć jak cebrzyk wielkość jego.

— Bieda nie po lesie, lecz po ludziach chodzi.

— Co ma bóg dać w lesie, to i do domu przyniesie.

— Boru i lasu — do czasu.

— Nie było nas, był las; nie będzie nas, będzie las.

— W pole po chleb, do lasu po drzewo.

— Cudze się widzi pod lasem, a swego się nie widzi pod nosem.

— Drew do lasa, a szyszek do boru wozić — głupstwo.

— Drzewo, które skrzypi, dłużej w lesie stoi.

— Im więcej drew, tym mniej lasu.

Gramy w brydża

Ilość rozkładów, jakie możemy spotkać w praktyce brydżowej sięga cyfry astronomicznej, a granice między kartą, która daje prawo do zapowiedzi, a kartą, z którą należy pasować, są nieraz bardzo trudne do określenia; dopiero dłuższa praktyka pozwala graczom odczuć i zrozumieć te różnice.

Zasadniczym problemem brydżowym jest zdecydowanie, z jaką kartą wolno rozpocząć licytację, t. zn. zgłosić grę zwyczajną w kolorze, bądź bez atu.

Jako podstawę należy przyjąć odzywkę punktowaną, co, zwłaszcza graczom początkującym, ułatwi w wysokim stopniu orientację.

Punktujemy trzy najstarsze honory, dając im następujące wartości: As — 7 punktów, król — 4 p. i dama — 3 p.; są to punkty bezatutowe. Według powyższej skali należy się więc obliczyć siłę swojej karty, przy czym należy równocześnie zwrócić uwagę na typ posiadanej karty; istnieją bowiem trzy zasadnicze typy układów:

1) układ bezatutowy, z następującą ilością kart w poszczególnych kolorach: 4 : 3 : 3 : 3,

2) układ kolorowy, w którym przeważa wyraźnie jeden z kolorów złożony conajmniej z 5-ciu kart,

3) układ dwukolorowy, gdy dominują dwa kolory conajmniej po 5 kart.

Pierwsza zapowiedź gry, otwierająca licytację, nosi nazwę zapowiedzi wstępnej i dotyczą jej specjalne obostrzenia co do wartości posiadanych kart.

Zwyczajną grę w kolorze można zgłosić w tym wypadku, gdy posiadamy w karcie conajmniej 18 punktów. Należy mieć nie mniej niż 5 atutów z dwoma honorami punktowymi, a za takie uważamy asy, króle i damy, t. j. figury, posiadające ustaloną powyżej punktację. Walet z 10-ką mogą w tym wypadku zastąpić jeden honor punktowy. Posiadając sześć kart w kolorze atutowym można zapowiedzieć ten kolor mając jeden honor punktowany, a drugi nie punktowany, np. K. W., i t. p. Oczywiście i w tym wypadku ogólna ilość punktów posiadanych w karcie nie może być mniejsza od 18-tu. Starsze karty w innych kolorach nazywamy „pomocą“, lub „bokami“. Deklarowanie gry z jednym tylko kolorem atutowym, bez pomocy w innych, zasadniczo jest niedopuszczalne; odstępstwo od tej zasady można zrobić tylko w wyjątkowych wypadkach — posiadania korony w deklarowanym kolorze przy siedmiu conajmniej atutach.

Dla orientacji podamy kilka rozkładów upoważniających do rozpoczęcia licytacji brydżowej:

1) ♠ As. K. 9. 7. 2; ♥ K. W. 5; ♦ D. W. 8; ♣ 9. 3

2) ♠ As. W. 8. 7. 6. 3; ♥ 10. 8; ♦ As. K. 3; ♣ 10. 2

3) ♠ K. D. 9. 8. 4; ♥ As. 10. 2; ♦ As. 10. 5; ♣ 5. 4

Ponieważ przy licytacji widzimy jedynie własne karty, trudno jest przewidzieć jaką pomoc da nam partner, dlatego też deklaracja z kartą zbyt słabą często nie może być wypełniona z braku odpowiedniej pomocy u partnera.

Jest rzeczą pożądaną, abyśmy oprócz posiadanego koloru atutowego mieli pomoc w 2-ch innych gdyż wtedy jest większa gwarancja wzajemnego uzupełnienia się kart partnerów i pewniejsze wypełnienie zapowiedzi. Oczywiście, że wystarczy i pomoc w jednym tylko kolorze, byleby karta miała odpowiednią wartość.

O ile posiadamy 2 kolory, to deklarujemy przede wszystkim wyższy z nich, a gdy drugi raz kolej zapowiadania na nas przychodzi — kolor niższy. Jedynie w wypadku posiadania trefli i pik, zapowiadamy najpierw trefle, a później piki. Uzasadnienie tego wyjątku podamy później.

W żadnym razie jednak przy karcie dwukolorowej nie może być brana pod uwagę siła koloru; decyduje tu tylko starszeństwo kolorów, a nie wartość honorów w poszczególnych kolorach.

OFIARY

Zamiast życzeń świątecznych na Fundusz Leśny R. L. — R. I. Kotyrkowie — 5 zł.

Zamiast wieńców na trumnę śp. Wojciecha Rosińskiego kwotę zł. 33.20 na F. O. N. złożyły Redakcja i Administracja **„Prasy Leśnej“**.

Ku uczczeniu nieodżałowanej pamięci ś.p. Dyrektora Edmunda Mickiewicza, w rocznicę jego zgonu, na fundusz sierocy R. L. — 10 zł składa J. Jodko z rodziną.

SZTANDAR POLSKI NAD BAŁTYKIEM

(Dokończenie ze str. 316-ej).

kie, które pozbawiły Litwę jedynego portu a nas portu pomocniczego, bardzo dogodnego, załadunkowego. Gdybyśmy kiedyś, czego oczywiście ani przypuszczać ani przewidywać na sekundę nawet nie chcemy, mieli dalej wobec Gdańszczan ustępować, byłaby to godzina złowroga dla innych państw nadbałtyckich. Od naszej pozycji nad Bałtykiem zależy sytuacja Litwy i Łotwy, a nawet w pewnej mierze Finlandii. Gdy przed laty dziesięcioma mówiło się o polityce nadbałtyckiej, wówczas niewiele osób zdawało sobie sprawę, co to właściwie znaczyło. Dzisiaj wiedzą, co to znaczy nie tylko Polacy, lecz nawet Anglicy, ci najkonsekwentniejsi pośród żeglarzy.

Gdziekolwiek więc staniemy na bałtyckim brzegu, gdziekolwiek spojrzymy, szukając dróg morskich i ich politycznego i gospodarczego znaczenia, wszędzie i zawsze wyrasta przed nami pytanie, gdzie jest i co znaczy polska bandera. Jeśli płynąć będzie swobodnie i pewnie, zapewni wszystkim państwom nadbałtyckim możność swobodnej i dogodnej żeglugi. Gdyby miała swoją pozycję osłabić, osłabiłaby nie tylko Polskę, lecz wszystkie mniejsze państwa nad Bałtykiem. Stąd to pochodzi, że w momencie rozstrzygającym, który wiele znaczyć będzie w historii, nie tylko my sami i nie tylko państwa bezpośrednio zainteresowane, lecz wielkie mocarstwa morskie jak Anglia, zrozumiały doniosłość udziału Polski w polityce bałtyckiej a tym samym doniosłość naszego dostępu do morza, jego rozbudowania, umocnienia i zabezpieczenia. Są to sprawy doniosłości wielkiej, wobec których polityka Gdańska, rządzonego przez narodowych socjalistów, wydaje się tylko epizodem, a właściwie niespodziewaną przeszkodą, którą Trzecia Rzesza, chce postawić na drodze morskiej Rzplitej Polskiej. Przeszkodę tę, jak tyle innych, musimy usunąć i usuniemy.

Kącik historyczny

7 KWIETNIA 1861 R.

Rok 1861 był w Warszawie rokiem manifestacyj ulicznych, przeważnie o charakterze półreligijnym, lecz o coraz żywszym zabarwieniu narodowym. To też władze rosyjskie starały się w miarę możności przeszkadzać tym manifestacjom i nieraz dochodziło przy tym do użycia broni. Wreszcie, gdy nastrój miasta stawał się coraz to bardziej gorący, w dniu 7 kwietnia ogłoszony został bezwzględny zakaz urządzania i uczestniczenia w ulicznych manifestacjach, przy czym zarządzenie zapowiadało użycie wszelkich, najostrzejszych nawet środków. Zarządzenie to zostało ogłoszone wieczorem, rozwieszone na ulicach na małych afiszach i w niewielkiej ilości, tak, iż mało kto w mieście o nim wiedział. Tymczasem w dniu 8 kwietnia odbywała się na Krakowskim Przedmieściu, przed figurą Matki Boskiej mała manifestacja, raczej chóralne śpiewy przed figurą. Traf chciał, iż w tym czasie przez plac Zamkowy przeciągał jakiś znaczny pogrzeb; Rosjanie, już podenerwowani śpiewami na Krakowskim Przedmieściu przyjęli liczny orszak, idący za pogrzebem, za manifestację i kozacy zaszarżowali, płazami szabel i nahajami rozpędzając żałobników. Uciekający roznieśli natychmiast po mieście wieść, że na placu Zamkowym kozacy biją ludność. Wieść ta podziałała na podniecone miasto w ten sposób, że kto tylko był w pobliżu pośpieszył na plac. Zebrał się liczny tłum, zapełniający ściśle cały plac, ale nie wiedzący właściwie czego chce i po co przyszedł. W takim stanie, gdy tłum już zaczynał rozchodzić się, ujrzano nagle, iż z bramy Grodzkiej wysuwać się poczęła kolumna piechoty, a od Podwala i Senatorskiej ukazali się kozacy. Widok wojska, zachowującego się zresztą zupełnie spokojnie, podniecił tylko ciekawość tłumu i ludzie przestali się rozchodzić. Gdy przed front piechoty wystąpił jakiś stary urzędnik wojskowy i coś cicho i niewyraźnie począł odczytywać — w tłumie powstały śmiechy i żarty. A jednak urzędnik ten odczytywał wczorajsze zarządzenie i wzywał tłum do natychmiastowego rozejścia się, lecz nikt prawie go nie słyszał i nie zrozumiał.

Wówczas, bez ostrzeżenia, bez salwy w powietrze, bez żadnych prób usunięcia zebranych — piechota rosyjska dała ostrą salwę w gęsty tłum z odległości paru metrów! W jednej chwili bruk pokrył się ciałami zabitych i rannych; od Senatorskiej i Podwala ruszyli do szarży kozacy, tłum zakotłował się i choćby chciał się rozejść — nie mógł, gdyż jedyną wolną ulicą — Krakowskim Przedmieściem napływały wciąż nowe gromady, a tymczasem piechota równo, spokojnie, zimno biła salwą po salwie w żywy cel!

Nie wiadomo, ile naprawdę ofiar padło tego dnia na Placu Zamkowym, gdyż sami Rosjanie przestraszyli się swego dzieła i zabronili nekrologów, ogłoszeń, zbiorowych pogrzebów, ale paruset zabitych i do tysiąca rannych, to były cyfry ustalone.

B. S.

LISTY DO REDAKCJI

Stosując się do życzeń Redakcji, zabieram głos w sprawie ufundowania samolotu dla armii.

Dawno już nurtowała myśl we mnie, abyśmy my, leśnicy, mogli zakupić jaki dar dla armii. Moim zdaniem, najodpowiedniejszy byłby samolot myśliwski.

Dyskutować nad tak poważną sprawą nie można wiele, trzeba się wziąść do czynu. Trzeba zawiązać komitet, który by zajął się tą sprawą. Myślę, że nas, leśników, będzie stać na ufundowanie nie jednego samolotu, lecz więcej. Zróbmy przegląd naszych sił, niech każdy z nas złoży na ten cel jednorazowo, ile będzie mógł. Składki powinny być ogłaszane w „Echach Leśnych", ażeby ofiarność jednych zachęcała drugich.

O ile jednorazowe składki nie będą wystarczające, opodatkujmy się składkami stałymi w stosunku do naszych poborów służbowych.

Trzeba się śpieszyć ze składkami, żebyśmy nasz dar mogli jeszcze w tym roku przekazać naszej armii. Niech wśród darów w postaci sprzętu wojennego, przekazywanych naszej armii od różnych ugrupowań społecznych nie braknie i daru polskich leśników.

Jan Kaszuba
gajowy spod Radomia

Radio

Niedziela, dn. 9.IV — 12.03 Przekładaniec świąteczny — koncert rozrywkowy. *15.00 „Suita wielkanocna"*. 17.00 „Historia o chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim" misterium Mikołaja z Wilkowiecka (z Poznania). 17.45 Koncert rozrywkowy. 20.30 Wieczór operowy. 22.00 Mukyka taneczna.

Poniedziałek, dn. 10.IV — 11.15 „Kujawski dyngus" — audycja muzyczno-literacka. 13.15 Muzyka obiadowa z Wilna. *15.30 „Młodzi po dyngusie"*. 16.00 Koncert wielkanocny z Poznania. 16.45 „Nowe lato" — słuchowisko obrzędowe. 19.30 Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego. 21.15 Muzyka taneczna. 22.00 „Na Kleparowie" — wesoła audycja ze Lwowa. 22.40 Muzyka taneczna.

Wtorek, dn. 11.IV — 15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa. 17.20 Utwory fortepianowe Ludomira Różyckiego. *18.00 „Skrzynka rolnicza"*. 19.00 Koncert rozrywkowy z Poznania. 21.00 „Nocleg w Apeninach" — opera komiczna.

Środa, dn. 12.IV — 15.30 Muzyka obiadowa z Wilna. 16.35 Recital śpiewaczy Heleny Karnickiej. 17.15 Koncert kameralny z Katowic. *18.00 „Nowiny leśne" — opr. red. L. Chociłowski.* 18.40 „Dyskutujmy: Czy dążenie do wybicia się jest cechą społecznie dodatnią czy ujemną". 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Pawła Lewieckiego. 21.50 Pieśni brazylijskie. 22.25 Muzyka taneczna.

Czwartek, dn. 13.IV — 11.20 Walce Straussa w wykonaniu chóru i orkiestr symf. 12.03 Audycja południowa. 15.15 „Kłopoty i rady: Ciocia z prowincji" — dialog. 15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa. 17.20 Koncert popularny z Wilna. *18.00 Audycja dla młodzieży wiejskiej.* 18.30 Opowieść o Moniuszce. 19.35 Kocert rozrywkowy z Katowic. 22.25 Muzyka taneczna (płyty).

Piątek, dn. 14.IV — 11.25 Nieznani pieśniarze — audycja z płyt. 12.03 Audycja południowa. 15.30 Muzyka obiadowa z Torunia. 17.20 Miniatury kwartetowe — koncert z Krakowa. *18.00 „Kwiaty w naszym ogródku"*. 18.30 Teatr Wyobraźni: „Radziwiłł w gościnie" — J. I. Kraszewskiego. 19.15 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego. 21.20 Festival Międzynarodowego T-wa Muzyki Współczesnej. Transmisja z Filharmonii Warszawskiej. 22.10 Płyty za płytą.

Sobota, dn. 15.IV — 12.03 Audycja południowa. 15.30 Muzyka obiadowa z Katowic. 16.35 Recital śpiewaczy Stani Zawadzkiej. 17.28 Koncert solistów z Łodzi. *18.00 „Chłopskie sanatorium"*. 1915 Koncert rozrywkowy z Łodzi 21.00 „10 lat przebojów" — transmisja z Brukseli.

Warunki prenumeraty tygodnika „Echa Leśne" miesięcznie 1,50 (ulg. 1.—), kwartalnie 4,50 (ulg. 3.—), rocznie 18.— (ulg. 12.—). Numer pojedyńczy 50 gr, z „Niwą Leśną" 75 gr Konto czekowe „Prasy Leśnej", „Ech Leśnych" i „Lasu Polskiego" P.K.O. Nr 5.755.

Wydawca „PRASA LEŚNA" Spółka z ogr. odp. — Redaktor inż. **MARIAN SOSNOWSKI**

343 Zakłady Drukarskie W. Piekarniaka, W-wa, Dobra 58, tel. centr. 644-59 i 592-40.